POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień | ***Dnia 24-go lipca 1943r.*** | **Rok V. Nr. 29**

NASZ NOWY WÓDZ NACZELNY

W określeniu: nowy — nie ma w danym wypadku całkowitej ścisłości. Jest ono ścisłe tylko, jako przeciwstawienie. Generał Kazimierz Sosnkowski ani dla nas, ani dla kraju, ani dla historii wojska polskiego nie jest wodzem nowym.

Do pracy niepodległościowej wszedł od młodych lat. Jako uczeń jeszcze, uległ za nią wydaleniu z 5-go gimnazjum w Warszawie i maturę musiał zdawać w Rosji. W tym okresie swego życia był czynnym członkiem organizacji bojowej P.P.S.

Podczas studiów wyższych na Politechnice Lwowskiej, gdzie kształcił się w architekturze, konsekwentnie prowadził robotę niepodległościową, już o charakterze wyraźnie wojskowym. Stał się twórcą Związku Walki Czynnej, powstałego we Lwowie, ale obejmującego całą Polskę, jako podbudowa ideowa ruchu strzeleckiego. Wiódł go w tym kierunku żarliwy patriotyzm, nie chcący pogodzić się z biernym wyczekiwaniem na wypadki dziejowe, przeświadczenie o dojrzewaniu konfliktu europejskiego i o roli jaką Polsce odegrać wypadnie w tym konflikcie, wreszcie — tradycja rodzinna. Dziad jego stryjeczny dowodził pułkiem strzelców konnych w roku 1830 — 31; mundur tego dziada, przechowany w rodzinie, jako najdroższa pamiątka, zdobił przed obecną wojną jedną z gablot Muzeum Wojska w Warszawie.

W chwili wybuchu wojny światowej 1914 roku był Kazimierz Sosnkowski najwybitniejszym po Józefie Piłsudskim oficerem Związku Strzeleckiego i jako taki, objął wraz z zastępstwem Komendanta odpowiedzialną funkcję szefa sztabu I Brygady Legionów. Żeby należycie ocenić trudności, związane z piastowaniem tego stanowiska, trzeba sobie zdać sprawę, że Legiony, mimo kilku lat przygotowań, były jednak wojskową i polityczną improwizacją. Rozwijały się i nabierały charakteru w ogniu walk, a zdecydowanych przeciwników miały nie tylko w okopach rosyjskich. Austriaccy opiekunowie rzucali im ciągle kłody pod nogi, zaś pruscy " sprzymierzeńcy " doskonale orientowali się w nieprzejednanie niepodległościowym duchu I Brygady. Stąd stałe trudności dla jej Komendanta oraz dla znanego z taktu i opanowania młodego " Szefa." Skończyło się to tak, jak się skończyć musiało: otwartym zatargiem z Niemcami w 1917 roku. Razem z Komendantem Piłsudskim i Szef Sosnkowski został aresztowany przez okupantów i osadzony w więzieniu celkowym, kolejno w Gdańsku, Wessel, Szpandawie i Magdeburgu.

Jednakże dla całkowitej oceny roli ówczesnego podpułkownika Sosnkowskiego w Legionach wiedzieć jeszcze trzeba, że ten zastępca Komendanta i szef sztabu niejednokrotnie stawał na czele walczących jednostek w ważniejszych akcjach. Za bitwę pod Łowczówkiem dziękuje mu Komendant w rozkazie i " jeszcze raz " podkreśla jego " wysokie zdolności wojenne." Był sztabowcem, bowiem należał do mózgu Legionów; był dowódcą liniowym, bo wszakże walka czynna za Polskę stanowiła marzenie jego życia.

Po powrocie z niewoli niemieckiej w roku 1918, pułkownik Sosnkowski obejmuje Okręg Wojskowy warszawski i szybko przywraca w nim ład wewnętrzny, nadwyrężony samorzutnością likwidowania okupacji. Wkrótce awansuje na generała i otrzymuje stanowisko wice-ministra, prowadzącego całość ważnych prac organizacji wojska, co w owej epoce było szczególnie trudnym zadaniem.

Od tej pracy na wiosnę 1920 roku odrywa go na czas jakiś rozkaz Wodza Naczelnego, stawiając go na czele Armii Rezerwowej, której zadaniem było zlikwidować wyrwę nieprzyjacielską na froncie północnym. Akcję tę gen. Sosnkowski przeprowadził świetnie, przywracając utraconą równowagę sił. Wróciwszy do stolicy, zostaje w Rządzie Obrony Narodowej ministrem spraw wojskowych. W najgorętszych dniach sierpniowych opiera się ewakuacji podległych sobie instytucyj z Warszawy, co wywiera niemały wpływ na podtrzymanie ducha wojska.

Następne lata — to gorączkowa i wytężona praca na terenie sejmowym, żeby uzyskać dla wojska Rzeczypospolitej warunki najlepszego rozwoju. W tej grze gen. Sosnkowski okazuje się mistrzem. Jednocześnie kładzie podwaliny pod zjednoczenie całego wojska, złożonego wówczas z tak różnorodnych składników. W trudnym momencie przechodzenia ze stanu bojowego w stan pokojowy gen. Sosnkowskiemu zawdzięcza wojsko polskie pierwsze chwile swego zespolenia.

W tej pracy spotyka się gen. Sosnkowski ciągle z gen. Władysławem Sikorskim, z którym stykał się już na gruncie służby strzeleckiej i legionowej. Łączy ich wspólna troska o wojsko, choć nieraz dzielą względy polityczne i zapatrywania na szczegóły. Nieraz dziedziczą po sobie stanowiska na skutek kryzysów ministerialnych, a są to zawsze stanowiska czołowe. Gen. Sikorski był Szefem Sztabu Generalnego za ministerium gen. Sosnkowskiego; gen. Sosnkowski był ministrem spraw wojskowych w gabinecie, który formował gen. Sikorski; zasiadali obok siebie w innych gabinetach. W końcu przemożna polityka obu ich odsunęła na boczny tor dowodzenia Okręgami Korpusów.

Można powiedzieć, że ci dwaj ludzie mimowoli wciąż współzawodniczą z sobą, na skutek obustronnej wysokiej miary, jednocześnie jednak bez przerwy współpracują dla dobra wojska polskiego. Gen. Sikorski świetnie kontynuuje pracę unifikacyjną, rozpoczętą przez gen. Sosnkowskiego; gen. Sosnkowski wiąże nasze wojsko mocnymi więzami z okrytym chwałą zwycięstwa wojskiem francuskim, co z kolei gen. Sikorski umocni i pogłębi. Z prac gen. Sosnkowskiego przypomnieć należy samodzielną negocjację i podpisanie umowy wojskowej polsko-francuskiej oraz uzyskanie z własnej inicjatywy pożyczki 400 milionów franków na uzbrojenie. Obaj z gen. Sikorskim mają jasne poczucie potrzeby modernizacji wojska pod względem wyszkolenia, taktyki i uzbrojenia; obaj mają twardy orzech do zgryzienia w walce z doktrynerami, partyjnikami lub po prostu egoistami, nie chcącymi ugiąć się przed interesem zbiorowym.

W roku 1924 jedzie gen. Sosnkowski do Genewy na czele delegacji, aby w imieniu Polski wziąć udział w konferencji międzynarodowej, mającej na celu ograniczenie handlu bronią. Przewodniczy tam w komisji głównej i przeprowadza ważne tezy, zlecone mu przez Rząd Rzeczypospolitej. Nadto imię jego jest ściśle związane z dwiema konwencjami, mianowicie dotyczącymi wojny gazowej i bakteriologicznej. Są to te dwie konwencje, jakie dotychczas ostały się z wielu uchwał genewskich. Jak dotąd, nie notowano wyraźnego ich pogwałcenia.

W roku 1926 z powodu ciężkiej niemocy musi opuścić stanowisko dowódcy O. K. Poznań i do służby wraca dopiero w roku następnym. Od tego czasu aż do wybuchu wojny roku 1939 cały czas jest jednym z inspektorów armii, inspekcjonującym zawsze tylko na wschodzie. Była to jedyna zlecona mu czynność wojskowa przez ostatnich lat dwanaście poprzedzających wypadki wrześniowe.

Wśród wielu obowiązków natury społecznej, a jednak związanych z wojskiem, wspomnieć należy przewodniczenie w komitecie naczelnym Muzeum Wojska.

10-go dnia od chwili powszechnej mobilizacji otrzymał gen. Sosnkowski przydział wojenny — dowództwo frontu południowego. Przybywszy 12-go września roku 1939 do Lwowa, nie zastaje tam żadnych prawie sił. Gen. Prich zmaga się z nadciągającymi z zachodu Niemcami na linii Wereszycy; samo miasto atakowane jest bezpośrednio przez kolumnę pancerną, która przedarła się od Węgier. Pierwsze posiłki nadciągają dopiero nazajutrz, a na ich czele gen. Sosnkowski przedsiębierze nierówną walkę. Trwa ona aż do ostatka, gdy, otoczony ze wschodu przez nowego nieprzyjaciela, musi szczątki swego wojska rozpuścić.

Sam przedostaje się pieszo przez granicę węgierską i przybywa w nimbie spełnionego do końca żołnierskiego obowiązku do Francji. Tu otrzymuje stanowisko ministra z ważnymi pełnomocnictwami, dotyczącymi dalszej walki z okupantem. Jednocześnie przewidziany zostaje na konstytucyjnego następcę Prezydenta Rzeczypospolitej.

Podczas załamania się Francji, gen. Sikorski powierza gen. Sosnkowskiemu swoje zastępstwo w chwili, gdy sam leci do Anglii negocjować przejazd oddziałów polskich na wyspy brytyjskie i udział ich w dalszej walce. Daje tym dowód, że jego uznaje za najodpowiedniejszego kontynuatora dalszej walki, gdyby sam z niej został przez los wytrącony.

W Wielkiej Brytanii pozostaje gen. Sosnkowski w gabinecie do lipca roku 1941. W tym czasie zgłasza swoją dymisję z Rządu, w związku ze sformułowaniem i przeprowadzeniem paktu z Sowietami, choć zawarcia paktu jest zasadniczym zwolennikiem, jak to niejednokrotnie wówczas i potem zaznaczył.

Dziś w tragicznie nieoczekiwanych okolicznościach wypełniło się to, co zmarły Wódz Naczelny w roku 1940, jako swoją wolę na wypadek zgonu wyraził. Na opróżnione przez jego śmierć stanowisko przychodzi przewidziany przez niego następca. Niesie nie tylko powagę najwyższego pośród nas stopnia wojskowego, ale doświadczenie, latami służby dla Polski zdobyte, oraz znane powszechnie cnoty osobiste, jak wysokie poczucie honoru żołnierskiego, sprawiedliwości i godności narodowej, to jest tych wszystkich imponderabiliów, od których nie ma i nie może być odstępstwa. Te cechy czyniły gen. Sosnkowskiego kochanym przez podkomendnych dowódcą już przed laty; one to dziś czynią go przyrodzonym wodzem osieroconych szeregów, które oby Bóg dał mu wieść zwycięsko do wolnej, całej i niepodległej Polski.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

Generał broni Kazimierz Sosnkowski urodził się 19.XI.1885 *w Warszawie. Odbył studia średnie w tym mieście. W r.* 1905 *wstępuje do Organizacji Bojowej P.P.S. W r.* 1906 *jest dowódcą okręgu warszawskiego tej organizacji, następnie okręgu radomskiego i okręgu Zagłębia. W r.* 1907 *udaje się do Lwowa gdzie kontynuuje studia wyższe. W r.* 1908 *zakłada Związek Walki Czynnej. W r.* 1910 *jest jednym z założycieli Związku Strzeleckiego. Od r.* 1912 *jest zastępcą Komendanta Związku Strzeleckiego Józefa Piłsudskiego i Szefem Sztabu. Te same funkcje pełni w I Brygadzie Legionów. Mianowany podpułkownikiem w r.* 1914, *pułkownikiem w r.* 1916. 12-13.VIII.1914 *dowodzi samodzielnie w Kielcach i pod Kielcami, dowodzi I Brygadą w bitwie pod Łowczówkiem, w bojach pod Bidzinami i Wysokiem Litewskiem. Po ustąpieniu Piłsudskiego obejmuje komendę I Brygady.* 21.IX.1916 *zostaje usunięty przez Austriaków. W r.* 1917 *obejmuje zastępstwo szefa Departamentu Wojskowego przy Tymczasowej Radzie Stanu.* 22.VII.1917 *uwięziony razem z Piłsudskim, w r.* 1918 *wywieziony do Magdeburga. Wraca do kraju* 10.XI.1918. *W tym roku mianowany generałem — w r.* 1919 *jest wiceministrem Spraw Wojskowych. Od* 25.V. — 12.VI.1920 *dowodzi Armią Rezerwową. W r.* 1920 *zostaje ministrem Spraw Wojskowych. W r.* 1921 *w Paryżu doprowadza do umowy między Polską a Francją. W latach* 1922 — 1924 *jest wielokrotnym ministrem Spraw Wojskowych. W r.* 1924 *zamianowany Członkiem Rady Wojennej. W r.* 1925 *zostaje dowódcą O.K. Poznań. Od r.* 1927 *do r.* 1939 *Inspektor Armii.* 11.IX.1939 *obejmuje dowództwo frontu południowego. W nocy z dnia* 16 *na* 17.IX. *stacza zwycięską bitwę pod Gródkiem Jagiellońskim.* 11.X.1939 *przybywa do Paryża — desygnowany na następcę Prezydenta R.P. Jest członkiem gabinetu do lipca* 1941.
8.VII.1943 *zostaje mianowany Naczelnym Wodzem Polskich Sił Zbrojnych*

Generał Sikorski w rozmowie z generałem Sosnkowskim



Szkic sytuacyjny

PODBÓJ SYCYLII

Miasto Catania znajduje się pod obstrzałem z lądu oraz z morza i lada chwila wpaść może w ręce sojusznicze. Drugie uderzenie aliantów idzie ku Gerbini, gdzie znajduje się ważna baza samolotowa. Jeżeli padnie Catania i Gerbini, wtedy władanie morskie oraz lotnicze będzie ułatwione, cała połowa Sycylii znajdować się będzie pod skrzydłami samolotów RAF'u oraz bombowców amerykańskich. *Włosi i Niemcy zdają sobie sprawę z ważności tych dwu punktów i dlatego opór jest tam dosyć silny.* Przypuszcza się, że lwia część sił niemieckich znajdujących się na Sycylii, broni właśnie Catanii.

Położenie wojsk włoskich i niemieckich na Sycylii jest złe. Przypuszczać należy, że niewiele posiłków idzie od strony lądu stałego, tym bardziej, iż cieśnina messyńska znajduje się nie tylko pod bombami sojuszniczymi, ale również i brytyjskie okręty podwodne czyhają na wszelki transport. Fakt, że port w Catanii ostrzeliwany był za dnia przez jedną ze słynnych jednostek floty brytyjskiej, dowodzi, iż flota wojenna Włoch dalej unika walki i bez walki oddaje wybrzeże Sycylii.

W takich warunkach *Sycylia skazana jest na powolne dogasanie.* Włosi nie mogą jej zbytnio zasilać, Niemcy oświadczają wyraźnie, że Sycylia . . . " leży właściwie poza sferą fortecy europejskiej " i że ląd stały Europy jest lepiej broniony. *To niemieckie umywanie rąk od spraw Sycylii dowodzi, iż propaganda niemiecką chce przygotować opinię Rzeszy na utratę wyspy.* Niezręcznie usiłuje się dowieść, że Sycylia nic nie znaczy, że stanowi tylko wewnętrzną sprawę Włoch. Przypomnieć jednak należy, że dwa miesięce temu propaganda Berlina rozpowiadała, iż na skutek opóźnienia uderzenia sojuszników od strony lądu afrykańskiego, zdołano " zamienić Sycylię w niezdobytą fortecę."

Wydaje się, że obrona włoska i niemiecka *tylko sporadycznie* jest twarda. W niektórych punktach wojska brytyjskie i amerykańskie nie napotykają na zbyt silny opór. Znajdują one porzucone stanowiska, baterie dział na świetnych pozycjach; poddawanie się oddziałów włoskich i niemieckich nie jest zjawiskiem odosobnionym /przy czym niektóre oddziały wojska niemieckiego rekrutują się z słabo przeszkolonych żołnierzy; pisma angielskie doniosły, że sporo w oddziałach tych Polaków z ziem zachodnich — nie mówią oni nawet po niemiecku/.

Wszystko wskazuje na to, że wojska sojusznicze witane są bardzo serdecznie przez ludność sycylijską, która wymęczona jest rekwizycjami, rządami faszystów i wszelkimi prywacjami długich lat zbrojnego pokoju. Zadanie zatem generała Alexandra, który został mianowany gubernatorem wojskowym zajętych prowincyj Sycylii, nie jest nadmiernie trudne, jeżeli chodzi o administrację. Na Sycylii działa nowe ciało administracyjne zwane w skrócie AMGOT /*Allied Military Government of Occupied Territory*/; na tym pierwszym skrawku odbitej Europy przechodzi ta organizacja pierwszą wielką próbę.

Nie wiemy, jak długo potrwają działania na Sycylii. Rzut oka na mapę przekonuje, że działania zaczęte nieco bliżej Messyny przesunęły się ku południowi i że najwidoczniej marsz na Messynę okazał się trudniejszy, niż sądzono. W tych warunkach ciężar operacyj przesunął się ku Catanii i Gerbini. Dzisiaj południowe pobrzeże Sycylii jest silnie trzymane przez aliantów. Marsz na Messynę zostanie na pewno podjęty, gdy będzie można pchać posiłki przez porty Syrakuz oraz Catanii. Na razie sojusznicy posuwają się południowym brzegiem wyspy ku wschodowi i ku środkowi Sycylii. Nie wiemy, jakie siły są jeszcze wewnątrz wyspy, ale wiele wskazuje na to, że jest tam gros sił włoskich.

Na ogół trzeba uznać, że *pierwsza faza działań na Sycylii powiodła się doskonale — powiodła nadspodziewanie dobrze i szybko. Jeżeli nawet faza druga będzie dłuższa, to doprawdy nie mamy powodu do uskarżania się na los.* Inicjatywa ani na chwilę nie wymyka się z rąk aliantów. Pokazują oni, że chcą skończyć zadanie na Sycylii jak najszybciej i najdokładniej.

TRAGICZNY LOS WŁOCH

500 bombowców amerykańskich znalazło się nad Neapolem w największym nalocie skierowanym przeciwko stałemu lądowi Włoch. Zrzucono bomby najcięższego kalibru. Rany zadane Neapolowi są na pewno bardzo ciężkie, szczególnie w rejonie portu.

Ogół włoski zdaje sobie na pewno sprawę z tragicznego położenia kraju. Wołania przez radio rzymskie — szczególnie teatralne przemówienie szefa faszystowskiego Carla Scorzy — dowodzą, że partia rozumie sytuację i że stara się zjednoczyć naród. Zadanie to wydaje się całkowicie beznadziejne. Scorza nie wspominał już ani słowem o Mussolinim /podobnie propaganda niemiecka opuszcza imię Hitlera i coraz częściej wraca do starszego nieco pojęcia — narodu/. Mówił on o " dwóch chwałach narodu włoskiego: kościele rzymskim oraz rodzinie królewskiej." Oto są centra, przy których mają się skupić masy włoskie.

Zaklęcia Scorzy, patetyczne i teatralne, dowodzą, że możliwość rozłamu i uprawiania " biernego oporu " przez masy włoskie jest dzisiaj bliższa, aniżeli kiedykolwiek. Obserwatorzy brytyjscy zaznaczają na łamach pism londyńskich, że nie należy się liczyć z jakimś masowym powstaniem, ale że opór włoski może zacząć powoli zanikać. Nie brak jednak komentatorów, którzy uważają, że możliwe są odruchy rewolucyjne mas robotniczych w wielkich ośrodkach fabrycznych i przemysłowych.

" *Daily Mail* " z dnia 19-ego zaznacza w depeszy z Madrytu, iż panuje tam opinia, że Włosi są w położeniu tragicznym. Jeżeli bowiem zdecydują się na bierny opór lub na wygasanie tego oporu, to wtedy wojska niemieckie, zajmujące kluczowe stanowiska we Włoszech, przejdą do akcji przeciwko Włochom. Jest to wcale jasne nie od dzisiaj dla tych, którzy wskazywali, że jeżeli Włosi zbuntują się przeciwko swoim ciemiężcom i przejdą na stronę aliancką, to wtedy będą musieli toczyć wojnę z Niemcami. Jest to również jasne nie od dzisiaj, że jeżeli Włosi zdecydują się na taki krok, to wojna toczyć się będzie dalej na ich ziemi, że zamęt tej walki będzie olbrzymi. Włosi obawiają się, podkreśla " *Daily Mail,*" iż staną się terenem walki na długie miesiące.

To jedno wydaje się niemal pewne. Nie tylko bowiem będzie na ziemi włoskiej szalała walka, jaka oszczędziła Włochy w czasie wojny ubiegłej, ale wydaje się, że takie czy inne "wypadnięcie " Włoch z wojny nie uchroni tego kraju od niemieckich z kolei bomb, które spadać będą na lotniska i miasta włoskie.

Tego rodzaju sytuacja sprawia, że w narodzie włoskim panuje dzisiaj zapewne olbrzymie przygnębienie, zamęt myślowy; że ogół, zbałamucony przez lata propagandy, przybity do ziemi przez kazania partyjne, przez ucisk faszyzmu — *sam już nie wie gdzie sterować.* Jest to właściwość krajów żyjących pod terorem partyj politycznych obrządku totalitarnego. W *jeszcze większym stopniu proces ten objawi się w chwili kiedy alianci zaczną dobierać się do Rzeszy.*

OFENSYWA SOWIECKA

Działania sowieckie w okolicy Orła dowodzą, że uderzenie niemieckie na tym odcinku miało przede wszystkim na celu rozproszenie koncentracyj sowieckich, tam się dokonujących. Zadanie to nie udało się, albowiem wojska czerwone przeszły do ataku i dzisiaj dokonały postępów na tym odcinku.

Doniesienia z różnych części frontu zdają się dowodzić że *walki rozgorzały na większej długości frontu, aniżeli początkowo sądzono.* Być może zatem, że wojska czerwone przejdą na jesieni do akcji zaczepnej na wielką skalę.

Nawet już dzisiaj można powiedzieć, że *jest to pierwsza letnia ofensywa sowiecka i że Rosjanie wyłamali się z dotychczasowego " podziału " — jak wiadomo dotychczas Niemcy uderzali w lecie, a Rosjanie w zimie.*

Ta zdolność sowiecka do uderzenia letniego dowodzi, że *Rosjanie mają znaczne rezerwy ludzkie. Mają również poważne rezerwy sprzętu.* Przyznaje to radio niemieckie. Jakkolwiek można przypuścić, iż przez mówienie o " olbrzymiej przewadze sprzętu Rosjan " propaganda niemiecka chce wywołać u ogółu wrażenie, że jednak wojska niemieckie opierają się dzielnie i że walki muszą wypaść niekorzystnie dla wojsk niemieckich — to jednak nie mamy powodu nie wierzyć całkowicie radiu berlińskiemu. Istotnie, wiele wskazuje na to, że *armia czerwona ruszyła do boju po zebraniu wielkich zasobów nowego sprzętu i to zarówno czołgów, jak i samolotów.*

Lato r. 1943 jest ponure dla Rzeszy. *Po raz pierwszy w tej wojnie uderzenia idą z dwóch stron, walki toczą się na dwóch frontach. Wiemy, że Wehrmacht bał się jak upiora tej właśnie możliwości, że cała strategia niemiecką dążyła do tego, ażeby uniemożliwić powstanie dwóch frontów.* Niemiecka strategia tej wojny stale szła na to, ażeby walczyć tylko na jednym froncie. Dzisiaj teoria ta leży nie tylko w gruzach /bo leży ona w gruzach od czasów kampanii brytyjskiej w Afryce/, ale *każdy obywatel Rzeszy widzi naocznie, że dwa fronty istnieją, że żołnierz niemiecki bije się na dwóch frontach w Europie i że wyczerpuje się ostatnia rezerwa niemiecka.*

Ten fakt jest tak wymowny i tak jaskrawy, że musi wzbudzić w Niemczech jeszcze większe przygnębienie. Lato r. 1943 jest dla Niemiec punktem zwrotnym. Zobaczymy, co zrobi strategia niemiecka, ażeby jesień i zima r. 1943/44 nie stały się jeszcze fatalniejsze, ażeby Rzesza nie weszła już wyraźnie i nieodparcie w strefę bezpośredniej klęski.

Londyn, dnia 19-ego lipca 1943.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

10 lipca: Polski dywizjon myśliwski osłaniał wyprawę bombową " latających fortec." Myśliwcy niemieccy napotkani nad północną Francją, walki nie podjęli. Wszyscy piloci polscy powrócili.

—Wojska brytyjskie zdobyły Syrakuzy na Sycylii.

—Zwłoki gen. Sikorskiego zostały przywiezione z Gibraltaru do Plymouth na pokładzie O.R.P. " Orkan."

11 lipca: Trumna ze zwłokami gen. Sikorskiego przybyła na dworzec Paddington, w Londynie. Honory wojskowe oddała kompania honorowa brytyjskiej Gwardii Grenadierów. Wartę przy Zwłokach przejęli od marynarzy polskich żołnierze. Trumna złożona została w jednej z sal Prezydium Rady Ministrów.

—Naczelny Wódz gen. Sosnkowski wydał pierwszy rozkaz do żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych.

12 lipca: Trumna ze zwłokami gen. Sikorskiego wystawiona została na widok publiczny w Prezydium Rady Ministrów w Kensingtonie. Przedstawiciele władz polskich i alianckich oraz liczne rzesze publiczności polskiej i alianckiej składały ostatni hołd Zmarłemu.

—Naczelny wódz norweskich sił zbrojnych gen. Hamsteen dekorował Trumnę najwyższym norweskim orderem bojowym " Frihets-korset."

13 lipca: Samoloty polskiego dywizjonu rozpoznawczego wykonały lot patrolowy ponad wybrzeżem nieprzyjacielskim. Po wykonaniu zadania wszystkie samoloty powróciły.

—Zwłokom gen. Sikorskiego złożonym w Kensingtonie w dalszym ciągu składały hołd liczne delegacje i tłumy publiczności. Wśród wielu wieńców złożono wieniec od żołnierzy polskich w Kraju, na którego wstędze znajdował się napis: " Wodzowi Naczelnemu — żołnierze Armii Krajowej."

—Premier Belgii Pierlot dekorował Trumnę orderem " Croix de Guerre."

14 lipca: Prezydent R.P. mianował nowy Rząd R.P. z prezesem Rady Ministrów, Stanisławem Mikołajczykiem, na czele.

—Za istotne i wybitne zasługi, położone dla chwały i pożytku Rzeczypospolitej gen. Sikorski zaliczony został w poczet kawalerów Orderu Orła Białego. Insygnia orderu Prezydent R.P. złożył na trumnie Zmarłego.

—Tego samego dnia trumna ze zwłokami gen. Sikorskiego została uroczyście przewieziona do Katedry Westminsterskiej ulicami Londynu wzdłuż szpaleru, złożonego z żołnierzy polskich, brytyjskich i amerykańskich.

—W nocy z 13/14 polskie samoloty bombowe brały udział w wyprawie na Akwizgran. Wszystkie samoloty polskie powróciły po wykonaniu zadania.

—W godzinach rannych polskie skrzydło myśliwskie osłaniało wyprawę bombową. W godzinach południowych drugie skrzydło myśliwskie osłaniało powrót wyprawy bombowej. W czasie walk z myśliwcami niemieckimi piloci polscy strącili trzy F.W.-190 na pewno. Z wszystkich tych zadań piloci polscy powrócili.

—W orędziu do Narodu Polskiego wydanym w związku ze śmiercią gen. Sikorskiego, premier Churchill powiedział: " Wysiłki jego i Wasze ofiary nie pójdą na marne. Bądźcie godni Jego przykładu. Bądźcie gotowi zginąć, jak musi zginąć wielu z nas i jak On zginął za swoją Ojczyznę i za wspólną Sprawę. Niech to pożegnanie Waszego zmarłego Wodza będzie odnowieniem wiążącej nas lojalności. Nie zapomnimy o Nim. Ja nie zapomnę o Was. Myśli moje są z Wami i będą z Wami zawsze."

15 lipca: W Katedrze Westminsterskiej, u zwłok gen. Sikorskiego, odprawione zostało uroczyste nabożeństwo żałobne, na którym obecny był Prezydent R.P., reprezentant króla angielskiego, premier Churchill, przedstawiciele władz polskich i państw Sprzymierzonych. Po nabożeństwie w katedrze zwłoki Generała przewiezione zostały do Newark.

—Samoloty dywizjonu myśliwskiego rozpoznawczego przeprowadzały patrole wzdłuż wybrzeża nieprzyjacielskiego. Po wykonaniu zadania wszystkie samoloty polskie powróciły.

16 lipca: W Newark odbył się pogrzeb gen. Sikorskiego. Generał pochowany został na cmentarzu lotników polskich.

—Polskie skrzydło myśliwskie przeprowadzało wymiatanie nad terenem okupowanym przez nieprzyjaciela. Wszystkie samoloty polskie powróciły.

Wojna na morzu

NA WODACH SYCYLII

Przedwczesne było by omawianie na tym miejscu operacji desantowych na Sycylii. Zostawmy to reporterom i dziennikarzom, z tytułu ich zawodu uganiającym się za aktualnością. Strategiczne rezultaty, poważnie rzecz biorąc, nie mogą być dziś omawiane. A sytuacja bynajmniej jeszcze nie rozwinęła się tak jasno, aby można było dać jej dokładny obraz.

Co jednak nie ulega wątpliwości, to fakt, że na wodach włoskich, w cieśninie o szerokości mniejszej od Bałtyku, dokonano wielkiej operacji powietrzno-ziemno-wodnej, w której marynarka wojenna odegrała pierwszorzędną rolę. I że gdyby nie ta marynarka i osiągnięte przez nią panowanie na morzu, to oczywiście o całej imprezie nie mogło by być mowy.

3000 okrętów i statków /w tym oczywiście i polskie/ brało udział w wyprawie — największej tego typu w dziejach świata. W 145 lat po słynnych operacjach Nelsona na Sycylii — bandera brytyjska powiała znów na tych wodach. Ufajmy, że zdobędzie jeszcze większe powodzenie.

Straty w pierwszej fazie desantu oczywiście były. Ale już sam fakt wylądowania pod osłoną dział okrętowych i lotnictwa kilkuset tysięcy ludzi, wraz ze sprzętem, świadczy, że rola marynarki wojennej na morzach wewnętrznych bynajmniej się nie skończyła, jak tego chcą niektórzy pisarze polscy. I że marynarki nie zastępuje się lotnictwem, lecz przeciwnie — lotnictwem wzmaga się jej siłę i bezpieczeństwo.

Podejście do lądu na wodach pozbawionych znaków żeglarskich i to przy złej pogodzie, nie było rzeczą łatwą. Siły adm. Cunninghama wywiązały się jednak z tego zadania znakomicie. Komunikaty nieprzyjaciela dość mętnie donosiły o uszkodzeniu lub " prawdopodobnym zatopieniu " kilkunastu jednostek pływających. Faktem jest, że od artylerii nadbrzeżnej strat w okrętach nie było, od okrętów podwodnych w pierwszej fazie również nie, a jedynie lotnictwo nieprzyjacielskie osiągnęło stosunkowo nieznaczne rezultaty.

Przeciwnie ogień artylerii okrętowej zmusił do milczenia — jak to nawet Niemcy przyznali — niejedną baterię brzegową. A kontrtorpedowce floty zajęły port Augusta. Współpraca lotnictwa sprzymierzonego z marynarką była idealna i dzięki temu naloty nieprzyjaciela odpierane były skutecznie.

W chwili gdy piszemy te słowa, brak jeszcze wiadomości o flocie włoskiej. Przedstawia ona wielką zagadkę. Rzekomo brak jej okrętów lekkich. Ale w chwili takiej jak obecna interwencja jej w tym czy innym składzie wydaje się konieczna. Jeśli flota włoska nie zareaguje, będzie to dowód, że nie umiano jej użyć, albo też, że załogi okrętów Mussoliniego nie płonęły bynajmniej taką żądzą walki, o jakiej gromko prawi radio rzymskie.

Jesteśmy jednak dalecy od niedoceniania przeciwnika. Prowadzi to zwykle do bardzo przykrych niespodzianek. Pamiętamy jak to w Polsce jeden z pisarzy opublikował zdanie, że " żołnierz polski jest bitniejszy od niemieckiego i niezawodnie da mu radę, boć przecież w Polsce w samych tylko bójkach ulicznych ginie co miesiąc tyle i tyle ludzi " . . . Jedno z wojskowych pism niemieckich odpowiedziało wówczas złośliwie, że nie jest to bynajmniej dowodem bitności, lecz alkoholizmu i przestępczości . . .

Trzeba więc brać bardzo ostrożnie wiadomości lekceważące przeciwnika. Jesteśmy dopiero w pierwszej fazie operacji. Za dwa tygodnie będzie można na ten temat powiedzieć coś więcej. Na razie zaś, za Pierwszym Lordem Admiralicji stwierdzić możemy, że okręty brytyjskie tylko od listopada do stycznia przewiozły milion ton sprzętu, 40.000 wehikułów i 400.000 ludzi na wody śródziemnomorskie, w obliczu nieprzyjaciela, prawie bez strat. Ile przewiozły ostatnio, dowiemy się później.

Stanowczo tego rodzaju oświadczenia są bardziej pożyteczne od dziennikarskich kpin z kawalerii włoskiej, szarżującej na czołgi . . . Polska kawaleria też szarżowała na czołgi niemieckie i żaden prawdziwy żołnierz nie widział w tym tematu do kpin . . .

OPERACJE KOMBINOWANE

Podczas gdy włoska opinia publiczna tymi czy innymi drogami zapytuje, gdzie jest " Luftwaffe " i gdzie są niemieckie okręty podwodne /nb. Mussolini chwalił się przecież, że posiada najsilniejszą flotę podwodną świata/, opinia niemiecka dziwi się znów i zapytuje, gdzie jest włoska flota nawodna, gdzie są nadpancerniki i krążowniki najdoskonalsze w swym typie? Radio berlińskie musiało opinię tę " uspokajać " oświadczeniem, że flota włoska wyjść nie może, bo " nie należy jej narażać na ataki lotnictwa brytyjskiego."

Oświadczenie dość jednostronne. Flota brytyjska potrafiła od początku wojny utrzymać panowanie na Śródziemnomorzu, mimo przewagi lotniczej nieprzyjaciela. Ta sama flota brytyjska, w znacznie gorszym od włoskiej położeniu, potrafiła przez pięć dni nie dopuszczać do Krety transportów nieprzyjaciela, a potem wyewakuować z tej wyspy 20.000 ludzi. Stało się to wprawdzie kosztem utraty kilku okrętów, ale w owym czasie okręty te pozbawione były współpracy własnego lotnictwa. Tymczasem, pomimo istnienia " Luftwaffe " i " Regia Aeronautica " Niemcy i Włosi nie wyewakuowali z Tunisu, praktycznie biorąc, ani jednego żołnierza, a dziś dopuścili do wylądowania na Sycylii.

Wymówki są tedy gołosłowne. Natomiast idealne zgranie morskich, powietrznych i lądowych sił zbrojnych dało Sprzymierzonym klucz do ostatnich zwycięstw. Zatriumfowała operacja kombinowana w jej idealnej formie. Niemcy zajmując Kretę, osiągnęli sukces powietrzno-lądowy, którego z powodu braku marynarki wojennej nie mogli rozwinąć. Natomiast brytyjska marynarka wojenna ocaliła Afrykę, a gdy otrzymała odpowiednie wsparcie z powietrza, przeszła do działań zaczepnych. I dziś pancerniki i krążowniki brytyjskie, bombardujące Catanię, czy położone 16.000 metrów w głębi lądu lotniska " osi," nie lękają się pływać wzdłuż nieprzyjacielskich wybrzeży. Artyleria powietrzna i artyleria morska współpracują ze sobą idealnie.

I jeszcze jedno: flota brytyjska, nie posiadając bynajmniej przewagi w powietrzu i rozporządzając tylko słabymi zespołami lotnictwa zaokrętowanego na lotniskowcach, nie zawahała się w r. 1941 zaatakować Taranto /uszkodziła wtedy pięć okrętów włoskich/. Jak teraz widać " Oś " tylko wówczas zdolna jest do operacji zaczepnych, kiedy, jak w Polsce, posiada druzgocącą przewagę i pewność zwycięstwa.

PACYFIK

Wiadomości o pierwszej bitwie na Nowej Georgii są sprzeczne. Obie strony przypisują sobie zwycięstwo. Japończycy twierdzą, że zatopili dwa krążowniki, 5 kontrtorpedowców i 8 transportowców, sami zaś nie ponieśli żadnych strat. Amerykanie mówią o zatopieniu 3 krążowników i 6 kontrtorpedowców japońskich, własne zaś straty ograniczają do krążownika " Helena."

Jest to jedyna nazwa, która uzyskała zaszczyt przytoczenia w komunikacie. Reszta jest wielką niewiadomą.

Druga bitwa zakończyła się, według zródeł amerykańskich, zatopieniem krążownika japońskiego i trzech kontrtorpedowców. Jakkolwiek jest, inicjatywa pozostaje wciąż w rękach marynarki i lotnictwa St. Zjednoczonych. Smok japoński pożarł więcej niż może strawić. A obecnie czekają go nowe kłopoty na Aleutach.

I tu jednak nie należy niedoceniać nieprzyjaciela. Między Japończykiem i Amerykaninem istnieje tak kolosalna różnica psychiczna, że niełatwo będzie zwyciężyć marynarzy i żołnierzy Mikada.

WOJNA PODWODNA

Minister Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych — Knox — zapowiedział możliwość nowej akcji nieprzyjacielskiej na Atlantyku. Sytuacja w chwili obecnej jest opanowana, nie wiadomo jednak co przyszłość przyniesie i nie należy spoczywać na laurach.

Równocześnie Admiralicja Brytyjska skierowała do robotników stoczni angielskich odezwę, żądającą wzmożenia pracy przy budowie nowych okrętów. " Jedyną możliwością przegrania przez nas wojny — głosi odezwa — byłby spadek produkcji w stoczniach okrętowych. Jeśli więc chcecie wygrać — pracujcie."

Charakterystyczne, że jak dotychczas okręty podwodne Hitlera i Mussoliniego wykazały stosunkowo niewielką aktywność na wodach Sycylijskich. Przyczyn na razie nie znamy. Ale jasne jest, że nie wygrywa się wojny trzymając flotę w portach, czy też używając tylko ograniczonych zespołów w takiej jak obecna, decydującej chwili. Potem można wyjść na tym jak Wilhelm II, którego niezwyciężona i w całości niemal zachowana " Hochseeflotte," powędrowała z opuszczonymi banderami i wyjętymi zamkami dział . . . bez bitwy do niewoli.

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

Kilka polskich okrętów nawodnych i podwodnych współdziała z na Morzu Śródziemnym z morskimi siłami Sprzymierzonych. Z nich " Dzik " osiągnął ostatnio, jak wiadomo, dwa piękne sukcesy: storpedował cysternę o pojemności 10.000 ton oraz zatopił statek pasażerski 4000 ton, przy czym eskortujący go torpedowiec przeciwdziałał dość słabo.

JULIAN GINSBERT

Dwie odprawy

W nocy z 13 na 14.IX., po całodziennej walce obronnej na wzgórzach na wschód od Krzywczy i Średniej, oraz po przebiciu się szturmem pod Łętownią, 11. Karpacka Dywizja Piechoty wkroczyła do Przemyśla. Straż przednia, którą tworzył III. baon 49. pp. pod dowództwem mjr. Stecewicza, przeszła most o godzinie 23.30, wysuwając się czołowymi elementami na wschodnie peryferie miasta — pod Bakończyce. Gros dywizji zatrzymało się na chwilowy odpoczynek w mieście.

Ubezpieczenie od zachodu zapewniała straż tylna, wyłoniona z 48. pp., która po odejściu dywizji z rejonu Reczpol-Korytniki dłuższy czas trzymała nieprzyjaciela w lasach reczpolskich, a potem, zerwawszy z nim kontakt bezpośredni, wycofała się na Ostrów, gdzie zajęła ugrupowanie obronne okrakiem szosy na linii starych fortów.

Dowiedziawszy się, że gen. Sosnkowski wraz ze swym sztabem ścisłym znajduje się w kasynie garnizonowym, podjechałem tam natychmiast, aby się u dowódcy frontu osobiście zameldować. Gdy wszedłem do sali t.zw. "rycerskiej," zastałem gen. Sosnkowskiego pochylonego nad mapą, mocno zatroskanego wytworzoną sytuacją. Obok stali: dowódca grupy gen. Łukoski, płk. dypl. Morawski i ppłk. Dehmel.

W pierwszej sekundzie wzięto mnie za upiora. Słyszano całodzienną kanonadę, świadczącą o poważniejszej walce, rozgrywającej się pod Krzywczą. Wiedziano już o zajęciu Krasiczyna i Łętowni przez Niemców. Od godz. 15.00 nie miano ze mną żadnej łączności. Wysłani oficerowie łącznikowi, albo nie wrócili, albo zameldowali, że droga główna na Krzywczę, idąca wzdłuż Sanu, jest przecięta i że Kuńkowce, a później nawet Wapowce, zajęte są przez oddziały nieprzyjaciela. W ten sposób 11.K.D.P. znalazła się w potrzasku, między nacierającymi z zachodu i wzmacniającymi zaporę na wschodzie oddziałami npla.

Nic dziwnego, że gen. Sosnkowski, myśląc o tej ciężkiej sytuacji i ujrzawszy mnie nagle przed sobą, ucieszył się mocno i z miejsca zapytał:

—"A gdzie dywizja?"

—"Nadciąga Panie Generale — jej straż przednia wkracza w tej chwili do centrum miasta."

—"Jakże się cieszę, żeście wyszli cało z tej przykrej opresji; możemy się bić więc dalej."

Krótko zameldowałem o przebiegu walk pod Krzywczą i o nocnym przebiciu się na bagnety pod Łętownią. Na dłuższą rozmowę nie było czasu — położenie stawało się z każdą godziną coraz cięższe i coraz bardziej beznadziejne.

Na północy Jarosław i Radymno zajęte przez nieprzyjaciela. 4 niemiecka dywizja lekka po przekroczeniu Sanu, ruszyła dobrze nam znanym rozpędem w kierunku wschodnim na Rawę Ruską, skąd mogła uderzyć na Tomaszów, na tyły cofającej się z nad Sanu armii gen. Szyllinga, lub na Lwów. Będąca dotąd z nią w kontakcie nasza brygada płk. Maczka wycofała się nad Jaworów i dalej na wschód. Łączności z tą brygadą, mimo usilnych starań — nie nawiązano. Na południu Dobromil i Chyrów znalazły się już w rękach Niemców. Były pogłoski, że jakaś większa kolumna zmotoryzowana nieprzyjaciela opanowała Sambor, że Lwów jest mocno zagrożony, ba — nawet atakowany.

Od zachodu nadciągają poważne siły nieprzyjaciela: 7. dywizja piechoty i 2. dywizja górska, a w drugim rzucie 44. i 45. dywizje piechoty — wstrzymywane dotychczas przez oddziały 11.K.D.P. i 24.D.P. Obecnie nic już ich marszu nie hamuje, lada chwila mogą się znaleźć pod Przemyślem.

Co ma do dyspozycji w tym położeniu gen. Sosnkowski i czym się może grożącej katastrofie przeciwstawić?

—11.*K.D.P.* w składzie: 3 pułki piechoty po 2 baony /baony po 400—600 ludzi/, 2 dyony artylerii lekkiej i 1 bateria ciężka. Dywizja dobra, zaprawiona w boju, o wysokiej wartości moralnej, lecz fizycznie poważnie nadwyrężona, a przede wszystkim niewyspana.

—38.*D.P. rez.* w składzie około 7 baonów z artylerią niekompletną i z bardzo nielicznym sprzętem ppancernym. Dywizja w walkach jeszcze niewypróbowana, ale kilkakrotnie już bombardowana i marszami zmęczona: koncentruje się obecnie w rejonie Mościsk.

—24.*D.P.* nie może być właściwie brana w rachubę. Po klęsce i rozbiciu jej w dniu 7 i 8 IX. pod Tarnowem, zaledwie część oddziałów, zresztą dobrze przetrzepanych, zdołało się przedostać pod Przemyśl i połączyć ze szczątkami zgrupowania płk. Stawarza, wycofującymi się w ciągłych bojach z nad granicy słowackiej przez Krosno-Birczę-Przemyśl w rejon Byków-Balice. Dywizja ta wymaga co najmniej dwóch dni odpoczynku dla nabrania sił i jakiego takiego zorganizowania się.

Obrona Narodowa: 2-4 baony luźne, zupełnie niewyszkolone, doraźnie zebrane z ludzi niepowołanych do szeregów wojska, uzbrojonych w stare francuskie karabiny, bez broni maszynowej, bez działek ppanc. i bez artylerii. Na baony te, jako na oddziały bojowe, liczyć absolutnie nikt nie mógł. Mogły się one może nadawać do służby wartowniczej i to w warunkach normalnych, gdzieś daleko za frontem, ale w żadnym wypadku nie do walki nowoczesnej; rozrzucone przy tym na dość dużym odcinku linii rz. San i Wiar, potrzebowały dobrych kilku godzin na zebranie się.

—Razem tedy siły armii gen. Sosnkowskiego nie przekraczały 10 — 12.000 piechoty bardzo zmęczonej i zużytej oraz 4 — 5 dyonów artylerii również mocno sfatygowanej. Ludzie i konie mieli już kilka setek kilometrów marszu za sobą i przebyli kilkanaście mniej lub więcej skutecznych nalotów lotniczych, nie licząc walk naziemnych. Siły te rozrzucone były ponadto na dużych przestrzeniach i nie powiązane żadnym środkiem łączności. Istniejące przy dywizjach stacje radio miały zasięg bardzo mały. Dowództwo armii rozporządzało tylko jedną stacją R.K.D. o praktycznym zasięgu do 50 klm. Sygnały wywoławcze pozmieniane — szyfry potrójnie skompromitowane; używanie ich byłoby niecelowe i niebezpieczne. Nowe nie nadeszły. Nadawanie depesz "clairem" było surowo zakazane. Żadnych środków zmotoryzowanych — ani jednego samolotu — jednym słowem nic . . . nic.

Brakowało również oddziałów rozpoznawczych. Kawaleria dywizyjna 11.K.D.P. nie istniała. Z artylerii plotniczej nie posiadaliśmy od początku wojny ani jednego działa, ani jednego najcięższego karabinu maszynowego. To też lotnicy niemieccy bezkarnie latali na niskich zawsze pułapach i zuchwale rzucali bomby, siekli karabinami maszynowymi, a gdy brakło odpowiedniej amunicji sypali na nas zwykłe granaty ręczne.

Po dojściu do rzeki San wszystkim oddziałom wykończyły się mapy. Zapowiedziane przesyłki nowych kompletów nie nadeszły do końca wojny. Odtąd trzeba było działać na ślepo. Odnosiło się to nie tylko do oddziałów piechoty, ale i do artylerii, a nawet do sztabów dywizji. Wszelka tedy planowość i dokładność w pracy — owe niezbędne czynniki w każdej akcji — były postawione pod wielkim znakiem zapytania. Ewakuacja, dostawy i dowozy stały się niemożliwe, gdyż tyły nie funkcjonowały zupełnie. Wszędzie, na skutek bombardowań, dokonanych zniszczeń, przerwanych połączeń i grasujących ciągle za plecami zmotoryzowanych oddziałów npla lub sabotażystów, panował chaos nieopisany.

Od 8.IX. nie otrzymaliśmy żywności. Oddziały na własną rękę organizowały eksploatację zasobów miejscowych, natrafiając na każdym kroku na niesłychaną ofiarność i pomoc ze strony ludności cywilnej. Do dzisiejszego dnia tkwią mi wiernie w pamięci długie szpalery kobiet i dziewcząt wiejskich, wynoszących samorzutnie chleb, mleko i masło dla przechodzących żołnierzy. Życzliwe spojrzenia zapłakanych i dobre słowa zachęcały do jedzenia.

Poszukiwania czynione skrzętnie przez kwatermistrza za amunicją kończyły się zwykle fiaskiem. Już po pierwszych dniach walki zmuszony byłem wydać rozkazy zalecające jak największą oszczędność. Zabroniłem strzelania do samolotów, nawet nisko latających /z broni ręcznej i maszynowej/ ze względu na bardzo duże, nieproporcjonalne do wyników zużycie amunicji. Żołnierze wykonywali to zarządzenie niechętnie, gdyż uczucie kompletnej bezsiły wobec zuchwalstwa, często i nisko latających Niemców doprowadzało ich do wściekłości. Trzeba było nadludzkiej energii, by zakaz ten utrzymać w praktycznej mocy i by wreszcie ludzi przekonać, że istotnym bojem dla nas jest walka naziemna i że wtedy tylko możemy sobie pozwolić na wydatniejsze zużycie amunicji.

Tak wyglądała w ogólnych zarysach sytuacja t.zw. południowej armii i tak smutne były elementy do decyzji dla jej dowódcy.

Gen. Sosnkowski, po wysłuchaniu raportu, zapoznał mnie z położeniem ogólnym i ze swą myślą przewodnią.

—"Linia Wisła — San istnieje tylko na mapie i w teorii. Dotychczas nie zrobiono nic, by nadać jej jakieś praktyczniejsze znaczenie. Trzeba szaleńca, by mógł o niej jeszcze myśleć, gdy nieprzyjaciel ma ją już za sobą. Oczy nasze mogą i muszą być skierowane tylko na Lwów, który wyraźnie jest już zagrożony. Trzeba mu iść z pomocą szybko, zanim Niemcy zdołają zgromadzić tam większe siły. Armia gen. Szyllinga otrzymała ode mnie rozkaz skoncentrowania się w rejonie Rawa Ruska — Jaworów. Waszą armię chcę mieć jutro również bardziej zwartą w rejonie Sądowa Wisznia — Mościska. Wiem, że przychodzicie prosto z bitwy, wiem, że jesteście zmęczeni, ale nie mogę wam dać ani pół dnia odpoczynku. Musimy przyjąć jakieś rozsądne ugrupowanie, by móc później planowo i skutecznie działać. Pańska dywizja ruszy natychmiast dalej, by stanąć obok 38.D.P. rez. w rejonie Mościsk. Jesteście opóźnieni co najmniej o jeden dzień marszu — musicie się tedy zdobyć na największy nawet wysiłek, bo zginiemy."

Zapewniłem generała, że wyciągnę ze siebie i żołnierzy swoich wszystkie żyły, a rozkaz wykonam. Powiedziałem to z uśmiechem i — przyznam się — ze szczerym uwielbieniem. Nie tylko dlatego, że decyzja mi odpowiadała, że mi się podobała, ale że to była pierwsza w tej nieszczęśliwej naszej wojnie decyzja trafna i przekonywająca, którą w tak jasnej treści i formie otrzymałem, która z miejsca chwytała serce żołnierskie, budziła wiarę w wodza i z góry zapowiadała powodzenie.

Dlaczego takich decyzji nie mieliśmy wcześniej? Dlaczego gen. Sosnkowski nie mógł być z nami już w pierwszych godzinach działań i walk?

W pełnych niesmaku i goryczy rozważaniach nad przebiegiem działań operacyjnych w Polsce, nieraz zadawałem sobie to pytanie i wiele, bardzo wiele nocy spędziłem z tego powodu bezsennych. Mieliśmy wojsko świetne, zapalne, ofiarne i bitne, jak może żaden poza Niemcami kraj na świecie. Mieliśmy za sobą cały naród zdolny, bez żadnych wyjątków, do największych poświęceń. Byliśmy z góry przygotowani do oddania wrogowi dużej przestrzeni, by go móc skuteczniej bić w dogodniejszych dla siebie terenowych warunkach. Więc dlaczegóż nie mogliśmy w ciągu całej kampanii stoczyć ani jednej większej, planowej, zawczasu zorganizowanej bitwy? Dlaczego nie zdobyliśmy się na poważniejszą akcję zaczepną, w której by tradycyjne, a w teraźniejszej wojnie dobrze krwią udokumentowane męstwo żołnierza mogło być umiejętnie pokierowane, w celowym wysiłku wolą wodza zespolone i należycie wykorzystane? Na wygranie wojny w Polsce nie mieliśmy szans, ale na stoczenie pięknych, z wojskowego punktu widzenia bitew — na okresowe przynajmniej powodzenia a nawet zwycięstwa powinno nas było stać. Może kiedyś po latach historia, po zbadaniu przyczyn istotnych i po bezstronnej ich ocenie, da nam wyczerpującą odpowiedź na te nękające nas dziś wątpliwości.

Było już dobrze po północy, gdy wyszedłem z kasyna.

* * *

15.IX. licząc się z dalszym marszem w kierunku wschodnim, przypuszczalnie na Kamieniobród, chciałem mieć na ten kierunek nastawiony 49. i 48. pp. Nie robiłem jednak żadnych przesunięć, dopóki nie nawiązałem łączności z 38.D.P. rez.

Pierwsze wiadomości, jakie od niej otrzymałem, były następujące: 38.D.P. rez. nie zdążyła opanować przepraw na Wereszycy, ani pod Gródkiem, ani pod Kamieniobrodem. Przeprawy te są trzymane mocno przez Niemców. Rozpoznanie, przeprowadzone w godzinach rannych i przedpołudniowych stwierdziło, że Haliczanów, Tuczapy, Rzeczyczany, wzgórze 317 i wzgórza dalej na północny zachód obsadzone są przez nieprzyjaciela. Lewo-skrzydłowy baon 38.D.P. rez., który zajmował pozycje obronne pod m. Nowosiółki /6 km. na północny wschód od Sądowej Wiszni/, a z którym 49. pp. nawiązał bezpośrednio łączność, meldował, że ma również przed sobą Niemców. Patrole 49. pp. wysłane na Szumlaki, zetknęły się już w północnej części lasu z jakimś oddziałem wroga.

Nie zdołałem sobie jeszcze wyrobić należytego poglądu na sytuację, ani wydać szczegółowych rozkazów do rozpoznania, gdy wezwany zostałem do dowódcy armii na odprawę. Poleciłem tylko ubezpieczyć się i wyświetlić położenie w kierunku na Jaworów i natychmiast wyjechałem do Sądowej Wiszni.

Nie była to łatwa podróż, mimo że rzestrzeń do przebycia nie wynosiła więcej, jak 3 km. Na drogach panowało duże zamieszanie. Lotnictwo niemieckie, czynne prawie cały dzień, bombardowało i ostrzeliwało stale najmniejsze nawet skupienia wojsk lub taborów. Ze szczególną siłą i uporem trzymana była pod ogniem sama miejscowość Sądowa Wisznia. Szosa i ulice w pobliżu mostu na rzece Wiszni były tak rozbite, że niepodobieństwem było przez nie przejechać samochodem. Gęste leje o dużej średnicy i głębokości, zniszczony sprzęt wojenny i tabory, wraz z gruzami domów barykadowały ruchy.

Odprawa trwała dość długo i odbywała się przy stałym akompaniamencie padających bomb i grzechotu ciężkich karabinów maszynowych. Gen. Sosnkowski wolno i spokojnie omawiał położenie, które pogorszyło się o tyle, iż wszystkie przejścia na Wereszycy, znane nam dobrze z dawnych wojen, jako bardzo trudne do zdobycia /*defiles*/, obsadzone zostały przez Niemców. Obronę tych przejść zorganizował nieprzyjaciel po wschodniej stronie rzeki, wysuwając na zachodni brzeg silne przedmościa wsparte artylerią. Poza tym, tak na północy, jak i na południu od Sądowej Wiszni kontakt z wrogiem stawał się coraz ściślejszy i coraz bardziej bezpośredni. O przejściu Wereszycy bez starannie przygotowanego i dobrze zmontowanego natarcia mowy być nie może. Czy na przygotowanie i przeprowadzenie takiego natarcia starczy czasu, sił i środków?

Zdrowy rozsądek mówi, że raczej nie. Czy nie lepiej więc będzie skręcić ku północy na Jaworów i przebiwszy się przez przypuszczalnie słabe tam jeszcze siły niemieckie, połączyć się z armią gen. Szyllinga? — Teren jednak jest bardzo niedogodny. Rzeka Szkło, dość głęboka i bagnista, o grząskich brzegach niełatwa będzie do sforsowania, a nawet do zwyczajnego przejścia z artylerią w nocy. Duże stawy, znajdujące się w pobliżu tego miasteczka, ułatwią nieprzyjacielowi obronę. Trzeba będzie działać na wąskich odcinkach i bić się o groble, co kosztować może dużo krwi, bez pewności powodzenia i bez wiary w możliwość spotkania się z Szyllingiem, z którym w dalszym ciągu żadnej łączności nie ma.

Czy nie trafniejsza i nie szczęśliwsza byłaby myśl zaniechania marszu na Lwów, a zwrócenie się z miejsca w kierunku południowo-wschodnim na Rudki — Komarno a potem na Dniestr? Tam można będzie znaleźć jeszcze wolną przestrzeń. Tam można będzie ściągnąć inne rozproszone oddziały polskie i w oparciu o góry, a głębiej o neutralne Węgry i Rumunię prowadzić wojnę dalej. Olbrzymie lasy karpackie, wąwozy, jary, strome i mało dostępne grzbiety górskie zezwolą na dłuższy oddech i na skuteczniejszą walkę. Tam wojska zmotoryzowane, czołgi i lotnictwo nie będą miały pola do działania. Tam nareszcie będziemy się mogli bić w warunkach równych. Dzielność za dzielność, krew za krew, śmierć za śmierć. Przygniatająca dotychczas przewaga liczebna, a przede wszystkim techniczna, nie będzie mogła decydować o powodzeniu. Tam zwyciężać będzie przewaga moralna — a więc siła, na którą nas jeszcze stać.

Są jednak i w tej koncepcji wielkie minusy. Przedostanie się za Dniestr, wobec zajęcia Sambora przez większe siły niemieckie, nie jest przedsięwzięciem dość prostym i łatwym. Można by jednak pójść na takie ryzyko i otworzyć sobie drogę ku Karpatom, ale jak prowadzić dłuższe walki w górach, gdy zapasy amunicji są na wyczerpaniu? — Sam bagnet nie wystarczy.

Tym ważnym zagadnieniom poświęcił generał dużo czasu i dużo skupionej uwagi. Po wypowiedzeniu swych myśli, pytał kolejno wszystkich wyższych dowódców o zdanie, badał opinię, rozważał wysunięte przez nich zastrzeżenia. I wreszcie, gdy jak zawsze w takich wypadkach nie było zgody i jednomyślności — zdecydowanie oświadczył:

—"Ja sądzę, że trzeba dochować wierności najwierniejszemu miastu. — Musimy iść na Lwów."

Generał popatrzył nam w oczy, jakby się chciał upewnić, czy jesteśmy zgodni z jego decyzją, a potem dodał:

—"Idziemy na Lwów drogą okrężną przez lasy Janowskie."

W chwilę potem wydane zostały krótkie ustne rozkazy, które przed wieczorem potwierdzono na piśmie. Według tych rozkazów:

11.K.D.P. ma prowadzić główne natarcie, posuwając się w dwóch kolumnach: jedna osią: Sądowa Wisznia — Nowosiółki — Mużyłowice Narodowe — Mołoszkowice — wzg. 301 — Dwór Ewy; druga: Zarzecze — Rogożno — Czołhynie — Bruchnal — Szkło.

Zadanie streszczało się mniej więcej w następujących słowach: uderzyć nocą po nakazanych osiach, szybko opanować zachodnią lizjerę lasów Janowskich i przygotować się do przejściowej ich obrony od kierunku zachodniego.

—38.D.P. rez. natrze równocześnie i równolegle z 11.K.D.P. posuwając się na prawo od niej, także po dwu osiach. Kolumna północna, która winna utrzymywać łączność z 11.K.D.P., po osi Laszki — Tuczapy — Leśniowce — Dobrostany — Wola Dobrostańska. Zadanie podobne do zadania 11.K.D.P.

—24.D.P. pozostanie w odwodzie i posuwać się będzie za tą dywizją, która będzie miała wcześniej powodzenie.

Natarcie ma się rozpocząć o zmierzchu. Ze względu na ciężkie warunki terenowe, brak dogodnych dróg oraz konieczność zapewnienia swobody poruszeń wojskom, wszystkie tabory muszą być zredukowane do minimum. Oddziały mogą zabrać z sobą tylko najniezbędniejsze pojazdy, w tym wozy amunicyjne i kuchnie polowe. Resztę należy pozostawić na miejscu, lub skierować na południowy wschód, na Komarno.

Ponieważ 11.K.D.P., jeżeli chodzi o rozpoczęcie działań znajdowała się w niekorzystnym ugrupowaniu, a na zajęcie odpowiedniej podstawy wyjściowej potrzebowała dość dużo czasu — prosiłem o wyznaczenie późniejszej godziny wyruszenia. Gen. Sosnkowski propozycję mą przyjął i ustalił, że czas rozpoczęcia działań określony będzie później telefonicznie, po zameldowaniu ogólnej gotowości bojowej.

Wprost z odprawy udałem się do swych dowódców pułków.

BRONISŁAW PRUGAR-KETLING

Fragmenty z większej całości p.t.: "Aby dochować wierności . . ."

OSTATNIA DROGA GENERAŁA SIKORSKIEGO


W Gibraltarze: chwila wnoszenia trumny na pokład okrętu


Ostatni rejs na pokładzie O.R.P. "Orkan"


W porcie w Plymouth — pod marynarską strażą


W Prezydium Rady Ministrów


Samochód z trumną na Buckingham Palace Road

Powrót do Anglii

Dnia 10 lipca doczesne szczątki ś.p. generała Sikorskiego były już w drodze do Wielkiej Brytanii. Ale duch generała był z pewnością gdzie indziej, nie na okręcie. Kierował się tam, gdzie skupiły się dnia tego myśli i troski wszystkich dowódców sojuszniczych. O świcie rozpoczęła się inwazja na Sycylię, na Europę — a wraz z tym — na Berlin i Warszawę . . .

O tej przygotowywanej inwazji generał musiał wiedzieć. Niejedną konferencję z dowódcami brytyjskimi odbył w Bagdadzie, Bejrucie, Kairze.

Wielki blok trumny nakryty był barwami Rzeczypospolitej. Obok, przez całą drogę z Gibraltaru do Plymouth, czuwali z bronią marynarze. Trumna ustawiona była na rufie okrętu, pod gotowym do strzału działem przeciwlotniczym. Najnowszy polski kontrtorpedowiec "Orkan" — szaro-srebrny — ledwie widoczny wśród szarozielonych i ołowianych wód Atlantyku w rekordowym czasie doszedł do Gibraltaru, zaokrętował ciężki jak głaz symbol polskiej Sprawy i Jedności i powracał teraz szybko, bezszumnie, z tym, jakże ciężkim, grobowym ładunkiem . . .

W drodze były tylko dwa alarmy. Pogoda była zła dla lotników nieprzyjacielskich, a okręty podwodne osi stały się lękliwe. Polski dyon bombowy czuwał, aby udzielić pomocy, ale "Orkan" jej nie potrzebował. W pobliżu Anglii dołączyły do "Orkana" dwa kontrtorpedowce brytyjskie, wysłane dla eskorty. W pół przedniego masztu powiewały na nich olbrzymie sztandary Rzeczypospolitej.

Około godziny 19 załoga "Orkana" stanęła w zbiórce na pokładach. Owionął ją słodki zapach lądu. Ale powiew ziemi już nie mógł ożywić gibraltarskich kwiatów, które więdły na trumnie Naczelnego Wodza . . .

Okręty ukazały się jeden po drugim na tle zielonej wyspy, zamykającej zatokę — jasne i ciche, jak zjawy. "Orkan" dobił bezszelestnie do nabrzeża, gdzie czekaliśmy w małej grupie, zastępując miliony osieroconych rodaków. Wiatr szarpał chorągwiami i chmurami.

Nikt nic nie mówił. Nie było żadnych głośnych rozkazów i komend. Grono dowódców i dostojników zeszło na pokład. Pochyliły się przed trumną głowy przyjaciół i podkomendnych Generała. Przemyślna i bezszumna maszyneria dźwigu zaczęła przenosić trumnę z pokładu między szeregi marynarzy polskich i brytyjskich, prezentujących broń. Brzmiał hymn Rzeczypospolitej. Kwiaty od Jej Prezydenta były pierwszym hołdem na ziemi brytyjskiej.

Lawetę z trumną pociągnęli marynarze ku wagonowi kolejowemu. Te sto metrów szliśmy wolno i długo — za trumną, generałami, admirałami — w zgodnych i milczących polsko-brytyjskich szeregach. Uwięził nas w swoim przerażającym smutku tak dobrze znany i tak zawsze dramatyczny marsz żałobny Chopina.

—*Czemu, Cieniu, odjeżdżasz . . .*

Doszliśmy do wagonu, który przyjął trumnę. Znów zapanowała cisza, łopocąca wiatrem, sycząca sprężynami kinoaparatów, pojękująca wołaniem morskich ptaków.

Nocą pociąg przeszedł do Londynu. W kaplicy wagonowej nadal czuwała warta marynarzy.

W olbrzymiej hali dworca niemal ginęły kompanie oddziałów polskich i brytyjskich, grupy dygnitarzy brytyjskich, członków Rządu R.P., Rady Narodowej i oficerów Sztabu Naczelnego Wodza. Przy dźwiękach hymnu trumnę przeniesiono do czarnej wielkiej limuzyny, która wolno odjechała na Kensington.

Tak Sikorski powrócił. Przyszły za nim gorzkie dziś dla nas, ale dobrze wróżące Polsce — jego słowa ostatnie z Gibraltaru:

—Jestem bardzo zadowolony z wyników mojej podróży . . .

Tak mówił, głównie myśląc o Wojsku Polskim na Wschodzie, przygotowanym do walki — teraz już bliskiej.

STANISŁAW STRUMPH WOJTKIEWICZ

Na Kensingtonie

Od ruchliwej High Street w Kensingtonie, wiedzie w górę spokojna droga, wysadzana drzewami, podobna do naszych wiejskich alei prowadzących do dworu. Jedynie liczne domy przy drodze, na których widnieją napisy w różnych językach, świadczą, że jesteśmy w mieście, w stolicy państwa.

W jednym z tych domów, przed który wiedzie zajazd, znajduje się polskie Prezydium rady ministrów. Dwóch żołnierzy stoi nieruchomo na warcie oddając honory przechodzącym wojskowym. Flaga polska przewiązana krepą mówi, iż tu znajduje się dom żałoby.

W dużej sali, przyciemnionej kirem przystanął na chwilę w swej ostatniej pożegnalnej wędrówce Generał Sikorski.

Spoczywa utrudzony. Pilnują ciszy Jego żołnierze, których chciał i umiał zwołać i zebrać ze wszystkich zakątków świata, których rozerwane szeregi potrafił po klęsce na nowo ustawić, spoić w jedno i poprowadzić do walki. Ciszę w domu żałoby przerywają tylko miarowe kroki żołnierskie. To wchodzą historyczne dziś sztandary z Polski, reprezentujące: piechotę, kawalerię, artylerię, broń pancerną, saperów i łączność. Ustawiają się półkolem przy trumnie. Wśród jarzących się świateł wchodzi delegacja oficjalna, by złożyć wieniec i hołd ostatni.

Godzina za godziną powtarza się ta ceremonia. Przychodzą nie tylko ci, którzy Go kochali i szanowali, ale także ci, którzy się z Nim nie zgadzali i z Nim walczyli. Przychodzą i wzrok ich pada na wyniosłą trumnę pokrytą polskimi kolorami, na ową biel tak czystą, jak czyste i rzetelne są intencje i zamiary Polaka w tej wojnie, na ową czerwień, jak czerwoną jest krew Polski, która płynie w Kraju i na wszystkich frontach, która spłynęła na wody Gibraltaru za Polskę, za wspólną Sprawę wszystkich zjednoczonych narodów. Za naszą i ich wolność.

Koło trumny rosną kwietniki biało-czerwone, ogromne, wspaniałe, jak gdyby chciano teraz, po śmierci bezmiarem kwiecia zakryć nie jedną krzywdę, wynagrodzić wszystkie zawody.

Gdy znów sala opustoszeje i Zmarły w półmroku świec pozostanie sam ze swymi tylko żołnierzami u boku, wtedy do zwłok podchodzą skromnie ci, którzy zawsze w Niego wierzyli, dla których On zawsze był symbolem. Nie znali go osobiście, nie widzieli Go może nigdy, ale żył zawsze w ich sercach jako Ten, który z Bożą pomocą doprowadzi do wolnej, sprawiedliwej, wielkiej Polski. Przyklękają cicho u trumny. Modlitwa porusza ich usta: "Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie . . ."

Niejedna łza prawdziwego i szczerego żalu pojawia się w ich oku. I gdy pora już iść dalej, z zawstydzeniem obok wspaniałych kwiatów i szarf składają swe skromne, ubogie kwiaty, ale jakże bogate wielkością miłości i czystości uczuć.

* * *

Sala wypełniła się przedstawicielami rządu, rady, społeczeństwa. Są tylko Polacy. Wchodzi Prezydent i Naczelny Wódz. Salę zalega zupełna cisza. Chwila najwyższego skupienia.

Prezydent, reprezentujący Majestat Rzeczypospolitej, podchodzi do trumny i składa na niej insygnia "Orła Białego" wygłaszając słowa nowoczesnej nobilitacji: "Za istotne i wybitne zasługi, położone dla sprawy i pożytku Rzeczypospolitej Polskiej . . ."

W prostych tych słowach złożony został hołd najwyższy. Polska, cierpiąca, ale walcząca i nieśmiertelna nagrodziła za służbę swego wiernego syna.

W godzinę później zwłoki Generała opuszczają ten dom, w którym myślał, pracował i trudził się. Wzdłuż ulicy, przed domem, ustawiły się oddziały reprezentujące wszystkie jednostki wojska polskiego w W. Brytanii, marynarkę wojenną i lotnictwo.

Trumna ze Zwłokami, na której złożono karabelę, czapkę generalską i pęk żółtych róż, towarzyszących Generałowi, jak łza zastygła aż do kresu wędrówki na ziemi brytyjskiej — posuwa się wolno przed szeregami.

Pochylają się sztandary. Żołnierze prezentują broń, prężą się na baczność i wzrok kierują na dokonującego przeglądu, tak jak zwykle, gdy wzdłuż ich szeregów szedł Naczelny Wódz. Tylko On już nie zatrzymuje się teraz — jak zwykle — przed nimi. Nie kładzie ręki po ojcowsku na ramieniu. Nie pyta o rodzinę, o wieści z Kraju — tylko posuwa się milcząco naprzód . . .

Orkiestra gra "Marsz żałobny."

WITOLD LEITGEBER

Ulicami Londynu

Najwymowniejszym chyba wyrazem hołdu, jaki społeczeństwo brytyjskie złożyło Generałowi Sikorskiemu, była manifestacja, zorganizowana w dniu 15 lipca na ulicach Londynu. Inaczej tego nazwać nie można, jak tylko "manifestacją," tego dnia bowiem — w najżywotniejszych punktach stolicy Wielkiej Brytanii — ustał na godzinę z górą wszelki ruch. Na Kensington Road, na Hyde Park Corner, na Grosvenor Place i na Victoria Road — szpalery wojska zamknęły skrzyżowania ulic w oczekiwaniu na przejazd konduktu żałobnego.

Tylko ludzie znający Londyn mogą sobie wyobrazić ilu żołnierzy było potrzeba, aby dwustronnym, gęstym szpalerem wojska pokryć tak znaczną odległość, jaka dzieli Kensington Palace Gardens od Katedry Westminsterskiej. Odległość ta równa się mniej więcej czterokrotnej odległości z Belwederu na Plac Zamkowy w Warszawie. To też szpalery wojsk składały się nie z setek, ale z wielu tysięcy żołnierzy.

Władze polskie zdawały sobie doskonale sprawę, ile trudności w okresie wojennym nastręcza organizacja wszelkich uroczystości. To też z naszej strony nie wysuwano żadnych sugestyj w tej dziedzinie. Projekt polski przewidywał, że trumna ze zwłokami Generała Sikorskiego nie będzie przewożona do Westminsteru, gdzie miało się odbyć nabożeństwo żałobne. Myśl przewiezienia trumny przez szpalery wojsk wysunięta została przez stronę brytyjską.

Trzeba było to widzieć, by ocenić właściwe rozmiary tej manifestacji. Wszystkie rodzaje broni wzięły w niej udział. Szpaler, zaczynający się przy Kensingtonie oddziałami polskimi — biegł dalej zielonym sznurem mundurów piechoty brytyjskiej, błękitniał mundurami lotników, aby zmienić się wreszcie w ciemny granat uniformów słynnych "*Royal Marines*" i *Royal Navy*. U końca tego szpaleru, przy Katedrze, stała Gwardia Królewska z orkiestrą. Poczesne miejsce zajmowały również oddziały wojsk amerykańskich.

Za szpalerami wojska tłumnie, wzdłuż całej trasy, zgromadziła się publiczność. Nikt nie pytał, jak to często bywa, o cel tej manifestacji wojskowej. Wszyscy wiedzieli, że przez centrum Londynu po raz ostatni przejedzie Generał Sikorski. Londyńczycy chcieli pożegnać tego polskiego Generała, którego tak dobrze znali z filmów i fotografii, z prasy i radia.

Stałem właśnie na Hyde Park Corner, gdy czarny samochód, wiozący trumnę, ukazał się w dalekiej perspektywie szpaleru. Padły krótkie słowa komend i żołnierze brytyjscy zastygli w bezruchu, prezentując broń. Zapanowała głęboka cisza, tak dziwna o tej porze w jednym z najruchliwszych punktów Londynu. Nie odezwał się nawet ani jeden klakson samochodu, choć z obu stron szpaleru oczekiwało na przejazd dziesiątki samochodów i autobusów. Czekano w milczeniu.

To milczenie przepłynęło wzdłuż miasta aż do Katedry Westminsterskiej, gdzie orkiestra "Coldstream Guard" powitała trumnę dźwiękami "Jeszcze Polska nie zginęła."

RYSZARD KIERSNOWSKI

W Katedrze

Wysoki gotyk katedry jest, jak kamienny okręt bez wnętrza, jak strzelisty wąwóz, którego dno wypełnił rozdzielony pustym przejściem i ujęty w regularne prostokąty tłum. Wzrok biegnie tym pustym przejściem, ale przed progiem ołtarza zatrzymuje się i opiera na wąskim, skromnym kształcie dębowej, otulonej w czerwień i biel trumny, między szpalerem sześciu wysmukłych świec. Ta trumna nadaje w tej chwili sens i surowej architekturze świątyni i obecności milczącej tego tłumu bardzo dostojnego i sztandarów i wart honorowych i ciszy wielkiej, którą przerwą za chwilę uroczyste śpiewy nabożeństwa.

Wszystko co sobie Rzeczpospolita w tej wojnie zdobyła i to co znaczy dla świata, skupiło się teraz tutaj przed tą drobną w ogromie katedry i tragiczną w czasach naszej walki o niepodległość i życie narodu trumną człowieka, który był w tej walce najważniejszy. Przyjaciele Polski, najwyżsi nazwiskami i sławą, przyszli dzielić z nami żałobę. Katedrę wypełnia poza tym to, co dziś w oczach świata reprezentuje żywy majestat narodu i państwa, jego Prezydent i Rząd i Wojsko. Z poza otwartych drzwi przebija w chwilach ciszy daleki szum Londynu, którego ludność zalega całe dojście do katedry gęstym i bardzo uroczystym tłumem.

Widowisko jest surowe i dostojne. Jest przejmujące wielkością.

Śpiewa chór wojska polskiego. Jego pełne i ciepłe głosy zdają się bliskie naszym uczuciom, mają w brzmieniu swoim głębokim coś kojącego. Potem na przemian odzywa się chór katedralny, chłodniejszy nieco i wyższy w tonie. Zawodzące soprany pacholąt łamią się bemollowym lamentem: *Requiem aeternam dona ei, Domine.*

W czasie podniesienia przeraża nagle straszliwa cisza. Nad głowami ludzkimi wyrasta ogromne sklepienie milczenia. Stało się przestronniej w świątyni, a jednocześnie przecież myśl trzech tysięcy ludzi stężała teraz w skupieniu wielkim i modlitwie, od której skurcz chwyta za gardło i do oczu nabiega ciężarem łez. Z zewnątrz słychać srebrny sygnał fanfar. Głos komendy suchy, twardy szczęk prezentowanej broni. Tłum stojący na ulicy przed katedrą modli się razem z nami.

Nabożeństwo dobiega końca. Kapłan zaintonował przenikliwym głosem: "*Requiescat in pace.*"

Potem kiedy chór nasz zaśpiewa "Boże coś Polskę," mury Katedry Westminsteru powtarzają: "Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie." Formuje się orszak żałobny — trumna niesiona przez oficerów polskich wolno przepływa ku wyjściu, za nią czarny, bolesny cień wdowy. Blada, szlachetna twarz Prezydenta Rzeczypospolitej zamyka swoim wyrazem żałobę nie tylko swoją. Żegna i odprowadza w owym skupionym pochodzie szczątki, podniesione tą śmiercią wodza na posterunku, ponad najdostojniejsze głowy, ku wysokościom dziejów.

Tą samą drogą, kiedy już przeszedł pogrzebowy orszak, idzie teraz od strony ołtarza pierwszy pośród sprzymierzonych dostojników człowiek, który postacią swą działa jak symbol: Churchill. Wyszedłszy z katedry przesuwa ciężki wzrok po zwartych i twardych twarzach oficerów i żołnierzy polskich, którzy w milczeniu oddają honory.

Część świątyni bliższa ołtarza jest już nieomal pusta. Pusty jest też wąski stopień katafalku, między sześcioma świecami, na którym stała przed chwilą trumna. Tylko powietrze, przeszyte pomarańczową smugą słońca u góry pod wysokim stropem, gdzie rozpościera się wielki, zawieszony nad ołtarzem krucyfiks, drży jeszcze żarliwą modlitwą polskich słów: Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie.

Patrzę na wychodzących z katedry ostatnich żołnierzy. Mają oczy dalekie, zapatrzone poza te ściany i poza dzisiejszą żałobę. Wiem, że myślimy oni i ja — o tym samym. O czasie kiedy, ta oto trumna w aureoli triumfu i zwycięstwa wchodzić będzie w progi wawelskiej katedry. Bo tego to dnia dopiero dokona się dla nas wszystkich to najwyższe wypełnienie celu służby, której życie poświęcił i życie oddał złożony w niej wódz i człowiek.

ALEKSANDER JANTA

Ostatni przegląd

Po jednej stronie wąskiej uliczki biegnącej wzdłuż westminsterskiej katedry, zwrócone w jej stronę, stoją nieruchomo, z bronią na "prezentuj" — długie szeregi wojska. Na prawym skrzydle orkiestra, a za nią ze sztandarami, opuszczonymi ku ziemi, wszystkie rodzaje broni w pełnym polowym rynsztunku.

Skromny, czarny karawan w asyście jednego lotnika siedzącego przy szoferze, samotny, nieodprowadzany przez tłumy, zalegające stopnie katedry i placyk przed nią — wolno skręca w uliczkę.

Pod warkot werbli Naczelny Wódz rozpoczyna ostatni przegląd.

Ulica jest kompletnie pusta: nie ma na niej ani delegacji, ani przedstawicieli organizacji czy władz, ani ciekawych. Domy nawet są szare, skupione w sobie, zamknięte. Chciało by się powiedzieć: Naczelny Wódz jest nareszcie sam na sam ze Swymi żołnierzami.

Jest przeraźliwie cicho. Tylko ponury warkot bębnów biegnie za karawanem wzdłuż szpaleru, ginąc gdzieś u wylotu uliczki.

Jakby się ociągając czarny samochód mija ostatnie plutony.

Przez szklane jego ściany jeszcze raz miga na zakręcie biało-czerwony sztandar i bukiet żółtych róż.

Pada komenda: na ramię broń, do nogi broń!

Werble milkną.

MARIAN WALENTYNOWICZ

W Newark

Gdy wyruszaliśmy z Londynu było jeszcze prawie ciemno. Chodniki, wilgotne od nocnego deszczu były także ciemne. Tylko w górze, ponad domami, ponad drzewami wzeszedł już samotny kolor, czysty i intensywny. Zaraz za Londynem, z prawej strony wypadło na nas słońce, jakieś bardzo bliskie, rzeczywiste, niemal dotykalne. Kolor nieba spłowiał, ustąpił wyższej, najwyższej jego jasności. Po rozdołach zaczęły się ciągnąć mgły i gładko, ściśle przylegać do ziemi. Między drzewa zapadły jakieś spóźnione obłoki, wiotkie, podłużne smugi. Z mgieł i z obłoków wyłuskał się dzień szczero-złoty, letni, przedżniwny, jakoś — bardzo polski, mazowiecki. I taki już trwał.

Gdyśmy dobili do celu, miasteczko, mimo wczesnej pory, było w pełnym ruchu. Na długim rozstępie między cmentarzem i kościołem zbierali się już ludzie. Póki nie zamknięto dostępu, tłoczyli się w ulicach przykościelnych i przechodzili w skupieniu wokół trumny.

Kościół katolicki w Newark jest skromny. Stoi wemknięty między czerwone, piętrowe domki, między schrony przeciwlotnicze. Gdyby nie szara wieżyczka z blankami, z masztem żałobnym u szczytu, zasługiwałby raczej na nazwę kaplicy. Gdy patrzę z drewnianego chóru w dół jedynej nawy — trumna zdaje się zajmować pół jej długości. Jest ciężka, wielka, ogromna, prawie nadludzka. Jakby zawierała coś więcej nad jedno ciało żołnierskie, boleśnie skrwawione, jakby zamknęła coś z naszego osamotnienia, z naszej utraty, z naszego zbiorowego losu, z ucisku serca milionów cierpiących i walczących, z ich żalu i żałoby. Położono ją przed ołtarzem wprost na pulpitach środkowej kwatery ławek, nakryto szeroko sztandarem, przywalono kwiatami. Z białego sklepienia nisko i promieniście rozpięto nad nią flagi polskie i brytyjskie. Zaciągnięto wartę z lotników, bo to jest ich etap, im oddany do strażowania skrawek ostatniej drogi.

Nie wiele już prócz tej zbyt wielkiej trumny zdołał w sobie pomieścić kościółek newarcki: najbliższych, przedstawiciela Prezydenta R.P., Rząd, członków Rady Narodowej — pośrodku; delegatów wojska i marynarki, którzy siedli z lewej; miejscowych notablów, przedstawicieli lotnictwa polskiego i brytyjskiego, zebranych po prawej stronie. I chciało się myśleć, że na te ciasne mury, zaciągnięte jasno seledynowym, naiwnym kolorem — zbyt wiele jest skargi w głosie chóru, zbyt wiele napięcia żalu. Ale msza żałobna przy malutkim drewnianym ołtarzu, kazanie biskupa polowego, egzekwie — wszystko już było w zgodzie z tym otoczeniem, z tym szczupłym, na tę chwilę żołnierskim, jakby polskim, prowincjonalnym, garnizonowym kościółkiem.

Pogrzeb pierwszego i jedynego przez z górą trzy lata Premiera Polski w klęsce i Polski w walce odbył się w alianckim, stołecznym, imperialnym Londynie. Tu — między ubogim domem Bożym i lotniczym wojennym cmentarzem — odbywał się pogrzeb Pierwszego Żołnierza Rzeczypospolitej.

Szarpał powietrze nad kościołem, nad cmentarzem, nad miastem całym obrót śmigieł, gdy lotnicy wynosili na barkach trumnę w wąskie przejście, na ulicę, niebieską od ich mundurów. Trwał ten dygot nad całą dwukilometrową trasą pochodu, wzdłuż której stali gęsto miejscowi ludzie, cisi i skupieni, ludzie wychowani w wielkiej, trudnej kulturze milczenia, na swój sposób wierni Temu, który szedł spocząć w ich ziemi i wśród ich grobów. Urwał się ten warkot dopiero wtedy, gdy długi kondukt prawie docierał do bramy cmentarnej.

Wtedy stanęła nad miejscem ludzkiego spoczynku jasna, letnia, południowa cisza. Cisza, w której u nas dojrzewa zboże, kwitną lipy, objawia się nieprzerwana, mistyczna, święta ciągłość istnienia. Wśród takiej to ciszy, słodkiej i kojącej w bólu, wkroczył w aleję cmentarza w Newark wpierw poczet sztandarowy, potem delegacje z wieńcami, potem oficerowie niosący niezmierną ilość odznaczeń, potem kler i wreszcie — chwiejąca się na barkach trumna, ciągle spowita w sztandar, płynąca powoli przez przestwór spokoju. Nie podobna było nawet znad tej trumny nie dojrzeć, jak niezmiernej i wzruszającej piękności jest to ostatnie stajanie drogi. Wąska aleja młodych lip, zaczynających teraz kwitnąć, przechodzi cały cmentarz na wskroś, w prostej, niezachwianej linii. Młodzieńcze konary sklepią się stromo pośrodku i sieją sypkim słońcem pod nogi. Jeszcze jedno przypomnienie, jeszcze jedno pozdrowienie z dalekiej ziemi.

I wreszcie, u kresu alei, polana cmentarna. Jednakie, białe krzyżyki lotniczych grobów, wyciągnięte w równe rzędy. Szeregowcy obok oficerów, oficerowie obok podoficerów. "Zginął śmiercią lotnika," "Zginął na polu chwały" — powtarza się na tych krzyżykach cała prawda życia i cała prosta wielkość śmierci. Pośrodku krzyż kamienny z lotniczymi orłami, na którym wyryto tylko dwa słowa: "ZA WOLNOŚĆ" i w słowa te zamknięto całą treść polskiej woli na dziś i na jutro, wszystką historię narodu i jego przekaz dla przyszłości. U stóp krzyża grób obmurowany świeżo cegłami. Czerwieni się wśród darni jak krew, jak otwarta rana w żywym ciele ziemi.

Już wszystko teraz, pod przejrzystym niebem, wśród drzew domowych, pod strażniczym krzyżem jest proste i surowe. Mówi Szef Rządu: "Jeśli Polska stała się natchnieniem świata, Ty Generale, stałeś się natchnienia tego uosobieniem." Mówi Prezes Rady Narodowej głosem drżącym, przenikniętym łzami. Mówi Naczelny Wódz głosem donośnym i mocnym.

Stoimy z odkrytymi głowami na baczność. Słychać, jak bije serce. Słychać, jak każde serce uderza o wieko trumny. Za chwilę trzaska w powietrzu trzykrotna salwa karabinowa. W ślad za nią brzmi pieśń urągająca śmierci, pieśń wyznająca niezłomną wiarę w życie, wieczna pieśń polska. Na jej rytmie trumna spływa w dół. Nie słychać, kiedy uderza o dno.

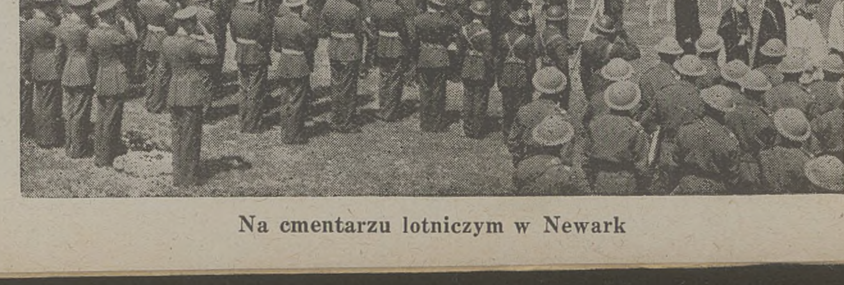
TYMON TERLECKI


Nabożeństwo w Katedrze Westminsterskiej


Ostatni przegląd


W kościele w Newark — pod strażą lotników


Droga na cmentarz


Na cmentarzu lotniczym w Newark

Internowani żołnierze polscy w dolinie Rodanu

Gdzie woda zamieniła się w wino



Drenowanie

I.

Pociąg z Lozanny na Vevey i Montreux biegnie między gęsto rozrzuconymi osiedlami. Krajobraz przypomina nieco Riwierę francuską, oglądaną z okien wagonów na odcinkach, gdzie kolej zbliża się do "lazurowego wybrzeża." Nie ma tylko palm tak typowych dla tamtego krajobrazu. Poprzez korony bogatej flory środkowoeuropejskiej, między kasztanami, lipami, topolami, klonami, świerkami i sosnami, między domkami i pałacykami mijanych osiedli, poza kąpieliskami i przystaniami, rozpościera się podobna lazurowa tafla jeziora lemańskiego. Lazur jeziora nie zlewa się jednak z błękitem nieba. Po drugiej stronie wysokie wzgórza, u których podnóży przycupnęło kąpielisko Evian. To już brzeg francuski — Francja, do niedawna jeszcze kraj wolności, kraj marzeń i tęsknot internowanych od trzech lat w Szwajcarii dziesięciu tysięcy żołnierzy polskich. W poprzek tęsknotom staje jednak strzeżona granica, regulamin internowania i rozkaz.

Za Montreux i Villeneuve pociąg wbiega między wysokie, malownicze pasma alpejskie. Z lewej strony pną się stromo góry gęsto zalesione, okryte bogatą zielenią, z której wyłaniają się pojedyncze domki, osiedla i winnice. Z prawej strony góry są niebieskie; ich ostre szczyty i granie, udekorowane białymi żyłkami leżących gdzieniegdzie śniegów, odcinają się ostro na tle jasnego nieba. Jesteśmy w dolinie Rodanu, który w tym miejscu wpada do jeziora lemańskiego. Dolina jest tu jeszcze dość szeroka, ale o 15 km na południe, przy St. Maurice, zwęża się do jakiś 1,5 — 2 km i biegnie później między fantastycznymi masywami najpiękniejszej partii Alp. Pra-Alpy przeszły w Wysokie Alpy, strzelające ku niebu stromymi szczytami Dents du Midi, po lewej, i Dent de Morcles po prawej stronie Rodanu. Między tymi szczytami znajduje się właściwe wejście do jednego z najpiękniejszych krajów Szwajcarii — Kantonu Valais rozciągającego się wzdłuż doliny górnego Rodanu od St. Maurice na zachodzie do przełęczy Furka na wschodzie.

Jest to jakby kraj zamknięty sam w sobie, zaryglowany ze wszystkich stron. Dalekosiężne armaty w fortyfikacjach górskich strzegą obu wejść od St. Maurice i od przełęczy Furka. Od północy obramowuje dolinę łańcuch wysokich Alp vaudoiskich, które od Dent de Morcles przechodzą w wiecznie okryte śniegiem szczyty Diablerets, Wildhorn, Wildstrubel, Balmhorn, i dalej — na zachód — od przełęczy Lötschen, w szerokie pasmo najwyższych gór krystalicznych o sławnych nazwach Bietschhorn, Breithorn, Aletschhorn, Jungfrau, Mönch. Łańcuch gór podnosi się tu i rozszerza, stwarzając formacje wielkich lodowców, jak Fiesch i Aletsch, największych w Alpach i dochodzących do 25 km długości. Od południa zamyka dolinę łańcuch Alp południowych, penińskich, ciągnących się od Salvan do przełęczy Furka. W tym łańcuchu wielki, leżący na ziemi francuskiej masyw Mont Blanc przechodzi w szwajcarskie szczyty Grand Combin, Mt. Colon, Dent Blanche, Weishorn, rozgałęziając się bardziej na południu w potężne masywy Matterhornu i Monte Rosa /4.638/, najwyższy szczyt Alp szwajcarskich.

Trudno było marzyć o piękniejszej koronie szczytów górskich niż te, które otaczają Valais i dolinę Rodanu. Biegnąca tuż koło łożyska rzeki linia kolejowa wije się tak, że często pozwala dojrzeć z okna wagonu malownicze góry, leżące po obu jej stronach. Lewe są ciemniejsze, zielone — to przedmurze wysokich szczytów Alp północnych. Prawe biją w oczy fioletem i ultramaryną z tymi białymi żyłkami śniegów, srebrnymi kaskadami potoków, spadających gdzieś z niebosiężnych wysokości, bądź z żółtymi zygzakami wąwozów, którymi biegną górskie dróżki. Unoszące się wysoko mgły przysłaniają gdzieniegdzie jakieś partie gór, a słońce rozjaśniając niektóre płaszczyzny, tym mocniej podkreśla cienie w załamaniach potężnych grzbietów.

Zniżając wzrok ku dolinie oko prześlizgnie się od czasu do czasu po starych wieżyczkach fortyfikacji i zameczków, wzniesionych na najbliższych wzgórzach doliny. Najniższe zbocza okrywają niezliczone winnice, a na samym dole, po obu stronach Rodanu, ścielą się osiedla, pola i ogrody. Takim jest w pobieżnym opisie zewnętrznym kanton Valais — 150 km długi, 60 km szeroki i stanowiący ze swymi 5.200 km², jedną ósmą całej Szwajcarii. Wszystko jest w nim wielkie, dziwne, czasem dziwaczne i interesujące, piękne. "Nigdzie — pisze o tym kraju H. Schmid — nie można się tak dobrze odzwyczaić od drobnostek, jak w Valais. Dlatego ten kraj stał mi się tak drogi." *

Porozrzucane od dwóch lat po całej Szwajcarii obozy internowanych żołnierzy polskich zawędrowały również do doliny Rodanu. Zawędrowały tu jednak nie w celach turystycznych, nie dla podziwiania piękna górskiego krajobrazu i grzania się w słońcu, które praży tu mocniej, niż w innych kantonach Szwajcarii. To prawda, że grzeją się w słońcu, ale grzeją się przy pracy, która rzęsistym potem pokrywa plecy i czoła.

Tylko ten, kto przeszedł kiedykolwiek przez długotrwałe obozy internowania może zrozumieć czym na internowaniu jest praca. P r a c a ! Ucieczka przed szarpiącą nerwy bezczynnością. Wróg gorzkich myśli i przyjaciel zapomnienia o tym, co boli. A boli wszystko: i utrata kraju, i los rodzin, i niemożność pomszczenia śmierci najbliższych, i te komunikaty z placów boju . . . Więc choć niechętnie ręce oddały karabin i armaty przy przekraczaniu granicy, chętnie chwytają teraz za kilof, łopatę czy pług, aby pracą skrócić męczące dni oczekiwania. Praca choćby najcięższa — aby była. A w Valais praca nie jest łatwa. Wszystko w tym kantonie graniczy z bajkami, ale za tymi bajkami ukrywa się nieprawdopodobny wprost trud człowieka, trud, który uzupełnia dziś żołnierz polski.

Dolina Rodanu jest krajem, który ma zarazem za mało i za dużo wody. Szwajcarski "ogród słoneczny" — kanton Tessino — ma kilkakrotnie więcej opadów deszczowych, niż dolina Rodanu a przy tym Rodan wypluwa co minutę około 40 milionów litrów wody do jeziora genewskiego. Dzisiaj raz szare, mętne, to znów jasne, przejrzyste wody Rodanu, jak zwykle w rzece górskiej, toczą się posłuszne woli człowieka. Ale jeszcze przed kilkudziesięciu laty było inaczej. Rodan, nazywany w dawnych czasach "Rotten," szalał bezkarnie po całej dolinie, zalewając ją niemal doszczętnie. Zaczęło się więc od walki człowieka z tym szaleńcem i nie co innego jak właśnie szukanie sprzymierzeńców w tej walce zadecydowało o przyłączeniu się w r. 1815 kantonu Valais do Federacji Szwajcarskiej.

Rodanowi wydzierano ziemię cal po calu, przede wszystkim przez amputowanie mu wieloramiennych dopływów górskich potoków, które to dopływy ujmowano w boczne kanały. Dziesiątki lat trwała ta walka, która wydaje się dziś zgoła czymś fantastycznym. Małe żyłki wodne w wysokich górach chwytano w tunele i akwadukty, nie cofając się nawet przed takimi wysokościami jak 2.200 metrów. Zebrane w ten sposób strumienie odprowadzono do kanałów, budując w ten sposób cały system nawadniania doliny i napędu leżących u podnóża gór zakładów wodno-elektrycznych. Bez tego cała dolina byłaby do dziś dnia tylko stepem pozbawionym kultury.

Jednocześnie z tą pracą Rodan stawał się coraz bardziej potulny, chudł z braku odcinanych mu dopływów wody i ustępował z ziemi, po którą sięgały z kolei ręce biednej ludności. Ale przez długi czas wybuchał szaleńczym gniewem. Jeszcze w r. 1860 równina od Riddes do Sierre, znajdowała się pod wodą, podobnie jak równina od Leuk do Brig. Miliony franków wydał kanton i Związek na tę walkę z przyrodą, a wszystko to nie przeszkodziło, że jeszcze w r. 1934 Rodan zalał pierwszorzędną szkołę rolniczą w Châteauneuf.

Człowiek wygrał tę walkę. Mało kto zdaje sobie dziś sprawę, pijąc doskonałe wina Valais, że powstały one . . . z wody. Liczne winnice wyrosły od 1860 r. tam, gdzie dawniej była woda, a krzewy winne rosną tylko dzięki temu, że ujarzmiono Rodan, a przez ujęcie potoków górskich w kanały mozolną pracą, stworzono system nawadniania plantacji. Czterdzieści milionów litrów wody na minutę wrzuca Rodan do jeziora Genewskiego, a około 25 milionów litrów wina rocznie dają winnice uwolnionej od szaleństwa Rodanu doliny.

Bieda stała się bogactwem Valais.

* * *

Bieda polska tworzy dziś w Valais nowe bogactwo.

—Zostawimy tu Szwajcarii kupę roboty — mówi mi spotkany w Chandolinie kapral Antoni O., z pochodzenia Ślązak, urodzony w Chropaczowie, pow. Świętochłowicki. Przed wojną wyjechał do Belgii, gdzie pracował 9 lat w kopalniach "Carabinier" i "Gonffre" okręgu Charleroi. W końcu 1939 r. zgłosił się do armii polskiej we Francji i otrzymał przydział do plutonu pionierów kompanii dowodzenia 4 Warszawskiego Pułku Strzelców Pieszych. Po kampanii wojennej we Francji przeszedł ze swym oddziałem w dn. 19 czerwca 1940 r. granicę szwajcarską, był internowany w Lützelfluh w kantonie berneńskim, gdzie pracował u chłopa, stamtąd przeszedł z oddziałem do Waldstadt, budując przez 8 miesięcy strzelnice. W połowie 1941 r. przerzucono go na drugi koniec Szwajcarii, do Chur. Znów praca przy poprawianiu strzelnicy, później robota przy budowie drogi w Ausserglas; 26 października 1941 r. trafił do doliny Rodanu, pracując początkowo w kopalni rudy żelaznej w Mont Chemin, później przy karczunku w Granges, aż wreszcie osiadł na stałe w obozie w Chandoline i pracuje w kopalni węgla.

Takich O., internowanych żołnierzy polskich, nowoczesnych cyganów, przerzucanych z obozu do obozu, z pracy do pracy, jest już w kantonie Valais około 1.000. Przybywa ich tu coraz więcej, gdyż tworzą się ciągle nowe obozy. Valais potrzebuje robotników, potrzebuje mocnych, krzepkich rąk, zdolnych do dalszego wydzierania skałom i ziemi ukrytych w nich bogactw naturalnych. Szwajcaria, kraj o niedoborze środków spożywczych i surowców przemysłowych, odcięty w czasie wojny od przywozu zagranicznego, walczy dziś z trudem o uzupełnienie swych braków we własnym zakresie. Każdy skrawek dostępnych gruntów i nieużytków rolnych zdobywa się pod uprawę. Kilof górniczy sięga do wszelkich dostępnych złóż minerałów, nawet takich, których normalnie nie opłacało się przed wojną eksploatować.

W tej ciężkiej walce, walce o życie, wraz z całą ludnością szwajcarską biorą udział internowani w Szwajcarii żołnierze drugiej Dywizji polskiej. W kantonie Valais zorganizowano już 8 obozów pracy, które dzielą się na dwie grupy zasadnicze. Pierwsza grupa, to obozy w Illarsaz, Granges, Saillon, Châteauneuf i Crans sur Sierre, zatrudnione przy karczunku, urządzaniu gruntów pod uprawę kartofli i jarzyn oraz sadzeniu jarzyn, druga — to obozy pracujące na rzecz prywatnych firm przemysłowych, a więc przy eksploatacji węgla w kopalni w Chandoline, rudy żelaznej w Mont Chemin i budowie górskiego zbiornika wodnego w Turtmann Illsee.

Są to wszystko obozy nowe, ujęte niedawno w odrębny sektor i powstałe z różnych drobnych oddziałów wojskowych, skierowanych tu do pracy. Nie są one jeszcze całkowicie zorganizowane i nie są też typowymi polskimi obozami na internowaniu w Szwajcarii; to zastrzeżenie należy poczynić przy omawianiu ich pracy i życia. Nie mniej jednak są to obozy bardzo charakterystyczne z punktu widzenia losu, jaki przypadł dziś w udziale Polakom zmuszonym do przebywania w Szwajcarii.

Do sektoru wojskowego, nadzorującego te obozy i posiadającego swą siedzibę w Aigle, należą jeszcze znajdujące się poza kantonem Valais dwa obozy oficerskie w Henniez i Celigny oraz grupa żołnierzy chorych na płuca w miejscowości uzdrowiskowej Leysin.

W dolinie Rodanu, gdzie woda zamieniła się w wino, zadźwięczała mowa polska. Polskie ręce współdziałają ze szwajcarskimi i kontynuują mozolny trud człowieka w walce z przyrodą. Ręce te oderwą się od karczowanej i drenowanej ziemi. Oderwą się kiedyś od skał, którym wydzierają węgiel i rudę, tak, jak wyrywają się dziś do Ojczyzny i do swoich myśli tych żołnierzy, którzy karabin zmuszeni zostali zamienić na łopatę i kilof. Ale pozostanie dokonane przez nich dzieło pracy. Zdobyte dla kultury rolniczej nowe tereny głosić będą długo nową opowieść, dorzucą nową baśń do tych bajek i cudów, których pełno w dolinie Rodanu. Błąkać się będzie ta baśń wśród malowniczych szczytów alpejskich, snuć się będzie długą doliną i przypominać dzieje polskiego internowania w Szwajcarii.

JAN JANUSZ

fotografie
WACŁAW NĘDZOWSKI

* Hans Schmid — "Wallis" Ein Wanderbuch 1935.

Niwelacja terenu



Bez black-outu

Wróciłem przed chwilą z prywatnego pokazu filmowego w Edynburgu. Łatwo się domyśleć, że nagle ożywiona, choć dość bezimienna ruchliwość w dziedzinie polskich pokazów filmowych, ma swoją jakąś uzasadnioną przyczynę. Wiąże się ona z przyjazdem do Wielkiej Brytanii jedynego w swoim rodzaju zapaleńca, jakim jest Franciszek Ożga z "Polish American Film." Chicagowska spółka Ożga-Gordon zdziałała w ciągu tej wojny bardzo wiele dobrego dla Polski mimo wszelkich przeciwności, czasem mnożonych przez rodaków z angielskiej parafii.

Niedawno przeżyli wspólnicy w Chicago nowe rozstanie. Gordon podobno tym razem nie chciał puścić Franciszka, którego już kilka razy z powodu jego filmowych podróży uznano, na szczęście omyłkowo, za "overdue," bo mu się raz "łajba" na środku oceanu popsuła, gdy wracał do Ameryki. A na tej "łajbie" wieźli obydwaj z operatorem Kazimierzem Karasiewiczem wyprodukowany we Francji film: "Jeszcze Polska nie zginęła," ocalony niemal spod niemieckiego obstrzału. Wprawdzie z przeszkodami, ale dojechali. Karasiewicz, obecnie porucznik armii amerykańskiej brał udział w wyprawie Prezydenta Roosevelta do Casablanki i mówiąc chicagowskim stylem: wrócił do U.S.A. jako "zrobiony człowiek," czyli operator prezydencki z przyszłością. Nie mógł więc tym razem dotrzymać kompanii Franciszkowi, który w Kanadzie zgłosił się jako ochotnik do armii polskiej.

Na ochotnika pewnie także przywiózł do Wielkiej Brytanii cenne bagaże: najnowsze aparaty do filmowania, aparatury dźwiękowe, setki naszych płyt i wiele polskich filmów produkcji przedwojennej. Niewątpliwie jest on "jubilatem" Atlantyku, bo łącznie z podróżami przedwojennymi, gdy pracował jako wspólnik Szczepanika nad kolorowaniem filmów, przebył Ocean czternaście razy. Powinien więc raczej pójść do marynarki, choć jest "khaki-ochotnikiem." Mówi, że będzie kręcił tutaj film, ale na razie pokazuje stare filmy polskie.

Zaprosił mnie na taki mały pokaz dziś właśnie. Program ułożony był dość perfidnie. Zaczęło się od "Rzek i jezior polskich." Nic na pozór specjalnego /napisy angielskie/ — zwykły dodatek, na który w ojczyźnie za dawnych, dobrych czasów narzekało się, w czasie którego się rozmawiało . . . Teraz była cisza jak makiem siał, tylko czasem wyrwał się jakiś szept: — "Ależ to naprawdę piękne," albo: — "Przecież ja to pamiętam" . . . Spływ kajakowy, czy regaty na Wiśle należało by pokazać sportowcom brytyjskim, wygląda to naprawdę światowo. Pierwszy chwyt za gardło przychodzi z falami Bałtyku, rozrzewnienie przy wodach Wilii, a gdy ukazuje się na ekranie całe piękno jezior Augustowskich, zachwyt idzie przez małą salkę. Ktoś mówi do mnie: — "Szkoda gadać panie kolego, sportowy naród my byli." Zbliżenie kilku zdrowych, roześmianych twarzy na żaglówkach. Myśl krótka, wojenna: ci ludzie byli kiedyś szczęśliwi.

Franciszek mówi: — "A teraz zmiana warty w Warszawie." Bagatela! Tak sobie powiedział to, a salka drgnęła. Sam złapałem się na tym, że coś mną szarpnęło. Spuściłem głowę. Słychać pierwsze tony polskiego marsza. Podnoszę oczy, ciekawość zwyciężyła: przez ulice Warszawy idzie oddział strzelców podhalańskich. Warszawa żyje w słońcu, na chodnikach tłumy . . . Migają szybko ulice, sklepy, napisy: "Kurier Warszawski," "Leszczków." Chciało by się doskoczyć do aparatu, zatrzymać, zatrzymać i napatrzeć do syta.

Zbliżenie orkiestry podhalańskiej; przecież to Adam Osada dyryguje! Chłopaki podhalańskie, dorodne jak świerki, prezentują broń. Na drugim planie tramwaje warszawskie, dorożki; w głębi życie, tętni ulica. Oczy rozbiegły się po całym ekranie, nie wiem, co prędzej łowić: mundury tych żołnierzy, twarze przechodniów, czy kontury dalekich widoków. Gdy kończy się ta krótkometrażówka, czuję się dziwnie wyczerpany; rozbudzony i nienasycony.

Nagle /ej, Franciszku, dość kawałów!/ na ekranie ukazuje się Fryderyk Jarossy przed kurtyną i mówi jak gdyby nigdy nic: "Proszę Państwa" — "prezentuję "Paradę Warszawy." Mimo, że kopia jest bardzo stara i zgrana, Jarossy jest jak żywy, mówi świetnie jak za najlepszych czasów "Qui pro Quo," "Cyrulika" i nawet prawą ręką ujął kurtynę dawnym przyzwyczajeniem. Zaczynam się teraz bać każdego podniesienia tej kurtyny, następują bowiem niezrozumiałe straty n.p. Chór Dana z Foggiem, Wysockim, Tadziem Jasłowskim; Fogg podobno w Ameryce pracuje w jakiejś fabryce, Wysocki? — Nie wiadomo; Tadzio? — Nie wiadomo. Jak oni pięknie śpiewają, jaka pełnia tonu. Najlepiej przymknąć oczy i słuchać.

Ale wtedy znowu jakoś za dobrze mi i zbyt "niebezpiecznie." Franek, mimo nalegań, nie chce zdradzić następnego numeru. Mówi: — "Zobaczysz." I zobaczyłem: Lodę Halamę, Stefcię Górską, Grossównę, Nobisównę, Sielańskiego, Orwida, Żelichowską . . . Ktoś pyta: "Co z Orwidem?" Nikt nie wie. Stefcia Górska. Aha, pamiętacie . . . mówiono, że . . . Cicho! A Żelichowska śpiewa z Jarossym niezapomnianą piosenkę "Cyrulika": "A ja nie tylko ty." Lena jest w Bombaju. Czytałem w jakiejś angielskiej gazecie, która przyszła stamtąd, że zrobiły z Ordonką wieczór piosenek polskich. Dziwna wojna, która uparła się rozsiać Polaków po wszystkich kontynentach!

Nagle słychać dźwięk gitary: Marian Rentgen. A jakże w kujawiaczku — jak dawniej. A na przyczynek /och jak on lubił przyczynki/ daje doskonałą: "Babunię," która poszła do "Jana Bożego," bo jej się w głowie pomieszało z codziennego słuchania radia. Oberwało się tam w tej piosence i "Wesołej Fali" i Seredyńskiemu i "Radiu dla chorych." Ma fantazję ta wojna: "Fala" na ziemi szkockiej słucha parodii Rentgena i śmieje się przez łzy.

Z ekranu dobrze brzmiąca orkiestra: Wars. Prawdziwa niespodzianka. Po osłuchaniu się bowiem z jazzami Wielkiej Brytanii i Ameryki ta polska orkiestra nie rozczarowuje, niektóre momenty ma nawet świetne. Ktoś słusznie zauważa: — "Pamiętajcie, że to jest nagrane co najmniej osiem lat temu." Mówią, że Wars jest na Wschodzie. Nie wiem. Na razie widzę go na ekranie i tak znajome twarze muzyków warszawskich.

Kończy "Paradę Warszawy" Tadeusz Faliszewski. Ten bardzo pracowity śpiewak, nagrywał ogromne ilości płyt i dlatego pewnie mawiało się nieraz: "Oj znowu Faliszewski." Teraz inaczej. Widownia szepce: "Cicho, Faliszewski śpiewa" — i uśmiecha się do własnych wspomnień.

Króciutka przerwa, ale Franciszek nie daje odetchnąć anonsując: "Będzie lepiej" — film ze Szczepkiem i Tońkiem. Kapral Szczepko siedzi na sali, kapral Tońko w szpitalu. Nie, nie, to nie treść filmu, to treść rzeczywistości. Obraz zaczyna się od albumu z widokami Lwowa i muzyczki, w której plecie się tyle motywów piosenki lwowskiej. Na sali coś pękło, już się nikt nie krępuje:

"Bernardyny."
"Tędy się szło do mego domu."
"Park Kilińskiego."
"Uniwerek, uniwerek!"
"Ludzie! Taż to Aleje Akademickie."
"Tam na rogu "Roma" i "Szkocja."

I na pierwszą scenę Fertnera z Niemirzanką patrzymy już przez jakąś mgiełkę, która padła na oczy z tego albumu lwowskich zdjęć. Powiało wielką tęsknotą . . .

A to kto? Aha, Żabczyński jako dyrektor przedsiębiorstwa wyrobu zabawek — w okularach i z brodą. Czekajcie, czekajcie, przecież on jest w artylerii. Spotkaliśmy go we Francji, po tym w Szkocji, w Cupar Angus. A teraz gdzie? Na Środkowym Wschodzie, mówią, że jest doskonałym oficerem.

Nagle krzyk na salce: "Jurek." Tak to on. Radca Strońć Jurek K. Wciągnął go Waszyński do pierwszego filmu ze Szczepkiem i Tońkiem, by mieli dobrego druha radiowego do kompanii. Radca Strońć jest sekretarzem "derektora" Żabczyńskiego "i tak dalij," "ogóli" . . . Odżywają znane powiedzonka, wraca wiele wspomnień sprzed mikrofonu lwowskiego. Nic o Strońciu nie wiemy. Na ekranie Szczepko i Tońko śpiewają: "A my dwaj, oba-cwaj nie mamy nic i mamy raj."

Wy dwaj? Więcej! Nas dziesięcioro, właściwie cała sala, wszyscy nie mamy nic. I nie mamy Lwowa. Ale będziemy mieli! I mamy "Raj" głęboko . . .

Do akcji wchodzi: "Bajbus," główna figura, podrzucone niemowlę, uroczy dzieciak. Dzieciak? Zaraz, zaraz. Pytam Szczepka: — "Słuchajno, ile też "Bajbus" ma teraz lat?" Odpowiedź przychodzi po chwili: —"Będzie miał dziesięć, jeżeli żyje" . . . Bajbus. Dziesięć lat! Jeżeli żyje . . .

Franciszku przerwij ten seans, wywołujesz zjawy, wskrzeszasz niebezpieczne obrazy. Zapalcie światło. Będzie lepiej.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Skrzynka pocztowa

W SPRAWIE WPROWADZENIA KSIĄŻEK O POLSCE DO BIBLIOTEK BRYTYJSKICH

Szanowny Panie Redaktorze,

W "Skrzynce pocztowej" /nr. 21 z dn. 29 maja 1943/ ogłosił Pan list p. Wacława Żychowicza, opatrując go tytułem: "Wprowadźmy książki o Polsce do bibliotek publicznych." Wydaje mi się, że inicjatywa autora listu jest godna najwyższego /i szybkiego/ poparcia. Jest to jednak sprawa niełatwa do przeprowadzenia. Wina tego leży całkowicie niemal po naszej stronie.

Anglik czyta chętnie i dużo. Czyta w metrze, w autobusie, w "*Express Dairy*" przy lunch'u, przy kominku po "*dinner'ze*," w każdej wolnej chwili. Książka jest mu potrzebna do egzystencji w tym samym stopniu, co popołudniowy "*tea*" i "*nine o'clock news*."

Biblioteka domowa jest składową i nieodzowną częścią umeblowania każdego domu. Książki, które składają się na nią, nie są jednak zbiorem zgromadzonym przypadkowo z darów i dworcowych zakupów. Anglik kupuje zazwyczaj książki, które podobały mu się z pewnych względów, a z których treścią zdołał się już poprzednio zapoznać z egzemplarza pożyczonego w wypożyczalni płatnej lub w bezpłatnej bibliotece publicznej. Stąd wielka waga tych instytucyj domowych.

Angielskie biblioteki publiczne mają za sobą wspaniały, wieloletni dorobek, wyrosły z tych samych pobudek, które powołały do życia sieć warszawskich bibliotek publicznych dla dorosłych i dzieci. Ruch zainicjowany w połowie zeszłego stulecia przez grono entuzjastów z Edwardem Edwards'em na czele rozwinął się wspaniale i dał doskonałe rezultaty. W porównaniu ze stanem przedwojennym naszych bibliotek publicznych — ich angielskie odpowiedniki są o wiele bogatsze, o wiele zasobniejsze w książki, dysponują znacznymi i stałymi dotacjami na zakup i oprawę książek, a wreszcie, czego najbardziej możemy im zazdrościć, pracują normalnie od lat kilkudziesięciu w sposób ciągły i konsekwentny.

Dociera do nich szeroka fala publiczności, tej właśnie, do której najtrudniej jest nam trafić z wiadomościami o Polsce: robotnicy, ekspedienci sklepowi, drobni urzędnicy, młodzież miejska. Gdy zaczniemy systematycznie obserwować publiczność uderzy nas duża ilość kobiet, zimą zwłaszcza, gdy "*black-out*" trzyma je w długie wieczory zimowe w domach, z których wyruszyli do *Army*, *Navy* i *R.A.F.'u* ich mężowie, lub dzieci.

Co czytają? Tu, po przydługim wstępie, dotykać zaczynam istoty zagadnienia: trudności, wiążących się z doborem książek o Polsce dla angielskich bibliotek publicznych.

Publiczność brytyjska czyta dużo i chętnie, zadawalając się lekturą różnej bardzo jakości, idąc w doborze książek pewnymi utartymi szlakami. Na szlaki te musimy wejść, jeśli chcemy, by książki o Polsce były powszechnie czytane, by zdobyły sobie rynek.

Niezwykle poczytne są tu powieści biograficzne i pamiętniki, reportaże wszelkiego rodzaju i książki popularno-naukowe. I oczywiście na czoło wysuwające się, by zniknąć po krótkim stosunkowo czasie — reportaże z wojny obecnej, im bardziej bezpośrednie, im bliższe autentycznych przeżyć, tym lepiej. Dalej powieści.

W doborze ich mężczyźni sięgają automatycznie po powieści sensacyjno-detektywne, "*thriller'y*" i "*penny-dreadfuls*." Kobiety /jest to opinia powszechna bibliotekarzy-praktyków/ sięgają po książki autorów wybitniejszych i starannie dobierają lekturę. Wpływ ich na kształtowanie się opinii o nowo ukazujących się książkach jest tu olbrzymi. Z czynnikiem tym należy się bardzo liczyć.

U czytelnika "masowego," do którego chcielibyśmy dotrzeć, lektura, jak wspomniałam, obraca się wokół pewnych, ograniczonych typów książki. A nawet w obrębie tych typów zachodzą pewne ciekawe zjawiska. Tak n.p. w chwili obecnej mało i niechętnie czytane są powieści z okresu Wielkiej Wojny i takież powieści /nie reportaże/ z wojny obecnej. Czytelnicy angielscy, wertujący starannie dzienniki i tygodniki bieżące, słuchający systematycznie radia, są tak nasyceni "tematami wojennymi," że niechętnie powracają do nich w lekturze wypoczynkowej, po którą właśnie sięgają do bibliotek publicznych. W przeciwieństwie do charakterystycznej dla wielu Polaków niechęci a nawet niemożności czytania lekkiej beletrystyki w okresie tragicznych przeżyć narodu, Anglik i ten, który domu swego nie stracił, i ten, który życie ledwie wyniósł ze zburzonego domu, czyta mimo wszystko te same rodzaje książek, które sobie upodobał w okresie przedwojennym, znajdując w lekturze jakby ucieczkę od teraźniejszości. A lektura ta to — powtarzam z naciskiem — powieść biograficzna, podróżnicza, pamiętnik, zbiór listów, reportaże, powieści.

Dla uniknięcia nieporozumienia podkreślam, że myślę stale o czytelniku "masowym," nie dotykając zagadnienia książki dla wyżej stojących intelektualnie warstw narodu, ani książki, uzupełniającej wykształcenie ogólne w ramach prac samodzielnych lub kierowanych /kursy, "*adult classes*," koła dyskusyjne i t.p./. I tu także wiele można by zrobić w zakresie szerzenia wiadomości o Polsce. Temat ten pomijam świadomie, nie chcąc nadmiernie rozszerzać ram i tak już przydługich rozważań.

W charakterystyce przeciętnej lektury przeciętnego Anglika niepodobna pominąć szczegółu błahego na pozór, ale bardzo istotnego: objętości i formatu książki. I tu także napotykamy stałe, niewzruszone przyzwyczajenia. Książka liczyć musi około 300 stron w formacie ósemki, w płóciennej oprawie.

Nasze wydawnictwa o Polsce są z reguły niemal broszurami dziwnych formatów, o ilości stron, skazującej je na szybkie utonięcie w powodzi druków ulotnych, które kupuje się w kioskach i wyrzuca po przejrzeniu na "*salvage*," których nie kataloguje się i nie udostępnia w bibliotekach na półkach "z wolnym dostępem" czytelnika. Po parotygodniowym, przelotnym żywocie znikają one na zawsze z oczu publiczności.

Wydawnictwa dużego formatu, o charakterze albumowym, zajmujące poczesne miejsce w naszej produkcji wydawniczej spotyka, niestety, ten sam los. Odbiegają one od panującego szablonu, nie można ich nosić ze sobą i czytać w metrze czy autobusie. Nie mieszczą się na półkach, ulokowanie ich sprawia kłopot.

Jeśli z kolei rozważymy treść naszej produkcji wydawniczej z punktu widzenia masowego czytelnika angielskiego, ukażą się inne oblicza omawianego przez nas zagadnienia. Anglik czyta chętnie biografię powieściową Marie Curie-Skłodowskiej pióra Ewy Curie czy słabą zresztą "*Polonaise*" Doris Leslie z życia Chopin'a. Myślę, że nie odrzuciłby powieści o młodości Conrad'a, o Helenie Modrzejewskiej a nawet "*love-story*" o Ludwice Śniadeckiej, czy też ujętych w formę życiorysów Stanisława Worcella, Zygm. Miłkowskiego /T. T. Jeża/ czy Cypriana Norwida. Pod pióro cisną się dziesiątki nazwisk nam bliskich a światu nieznanych, poprzez których portrety powieściowe można by mówić o Polsce.

Ale książek tego typu na próżno szukalibyśmy na półkach bibliotek. Nie zostały dotąd napisane, choć przydałyby się nie tylko dla obcych, choć potrzeba ich była żywo dyskutowana w gronie polskich bibliotekarzy oświatowych przed wojną.

Na próżno szukalibyśmy także książek, mówiących w formie reportażu czy pamiętnika, zbioru listów czy nowel o życiu powszednim Polski: o polskim inteligencie — nauczycielu, lekarzu czy inżynierze, o śląskim górniku, tkaczu łódzkim czy cieśli gdyńskim. Jakże bardzo brak książek typu Boguszewskiej "Całe życie Sabiny" czy Chętnika "Z borów kurpiowskich," które nie będąc arcydziełami, trafiałyby przecież do rąk szerokiej publiczności, mówiąc prawdę o nas. Jakże brak opisów ziem polskich w formie opisów wędrówek krajoznawczych: kajakowych, rowerowych, pieszych po poszczególnych dzielnicach ziem polskich, podkreślających umiejętnie nasz dorobek kulturalny, zahaczających o przeszłość, nie omijających tematów drażliwych, nie przemilczających spraw trudnych: zagadnień mniejszościowych czy religijnych i t.d.

Na półkach bibliotek angielskich głucho o nas w tym dziale. Błąka się jedna czy dwie książki z tego zakresu. Napisane dawno już temu przez cudzoziemców, najlepszej woli, ale znających nasz kraj z parotygodniowego często pobytu . . . Jeśli nawet trafią do rąk czytelnika, nie spełniają zadania.

W jednej tylko dziedzinie jest niewątpliwie lepiej: w dziale reportaży z obecnej wojny: tu nie tylko książki tego typu, co Fiedlera "*Squadron 303*," opisy przygód "Orła," a nawet /wyjątek!/ broszura o "Garlandzie" dobrze służą sprawie polskiej. Ale książek tego typu jest mało, mało, mało . . .

Brak papieru redukuje poważnie nasze możliwości wydawnicze. Tym więcej jednak zważać się powinno na to, by każda książka o Polsce w języku angielskim służyć mogła najlepiej i najtrwalej. Nie powinniśmy się zresztą zamykać w kręgu potrzeb najbliższych tygodni, ale wybiegać myślą w dalszą przyszłość.

Paradoks, że czas wojenny sprzyja pisaniu nie jest pozbawiony głębszego sensu. Wielu z nas czyta obecnie więcej, niż w czasach pokojowych, wielu próbuje pisać. Gdyby tak rozpisać konkurs na reportaż z życia miast czy miasteczek polskich? Gdyby tak zalecić komuś dobranie i przekład cyklu "*Polish short stories*"? Może by coś z tego wynikło i dla obcych i dla swoich.

A dziś? Dziś starać się winniśmy, by te przynajmniej książki, które obecnie są dostępne i nadają się do bibliotek publicznych — jak najprędzej i jak najszerzej dotarły do angielskich bibliotek publicznych.

Bo, jak słusznie powiada p. Żychowicz, "spać tam na półkach nie będą."

Maria Danilewiczowa

W SPRAWIE PRASY POLSKIEJ W W. BRYTANII

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z atakami na Polaków w W. Brytanii, że wydają zbyt wielką ilość pism na emigracji, nasuwa się następujący argument:

Emigracja w W. Brytanii względnie w St. Zjednoczonych jest jedynym środowiskiem polskim złożonym ze wszystkich odcieni społeczeństwa, które może swobodnie wymieniać poglądy na wszelkie tematy i rozważać wszelkie zagadnienia. Tematy te są różnorodne, zagadnienia niezwykle żywotne, poglądy niejednokrotnie skrajnie sprzeczne, jak w każdym złożonym i myślącym społeczeństwie.

Społeczeństwo polskie w kraju nie ma żadnych możliwości swobodnego formowania opinii i rozważania problemów. To co tutaj jest napisane, rozważane i omawiane w szeregu pism wychodzących w W. Brytanii będzie kiedyś, może w niedługiej już przyszłości, przedmiotem badań i dyskusji Polaków pozostających obecnie pod jarzmem niewoli. Jeśli się to weźmie pod uwagę, to ilość pism wychodzących na tym terenie, nie wydaje się nadmierna.

Zdajemy sobie znakomicie sprawę z pobudek kierujących atakami na ilość polskich pism. Tu nawet nie chodzi o ilość pism, ale o tematy poruszane i o wygłaszane poglądy. Musimy się przyznać że nam wcale nie zależy na "ujednostajnieniu" poglądów według takiego czy innego schematu. Właśnie o rzetelną wymianę poglądów nam chodzi, ażeby z tej wymiany myśli dojść do istoty prawdy. Niemcy w Polsce starają się wszelkimi sposobami zunifikować myśl polską. Jeśli tam nie ustępujemy, nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy i tutaj ulegać jakimś naciskom zewnętrznym.

Na nasz użytek pragnę dodać, że pamiętając o zadaniach, jakie pisma tu wychodzące mają do spełnienia, winniśmy dbać przede wszystkim o poziom publikowanych prac, ich poziom zarówno pod względem literackim, jak i dyskusyjnym.

Ignacy Lubiewa

Polski Czerwony Krzyż jest w posiadaniu listów lub wiadomości z ZSRR i Iranu, które nie mogą być doręczone odbiorcom z braku adresu.

Uprasza się o podanie adresów, lub posiadanych informacji o poszukiwanych osobach do P.C.K. Wydział dla Spraw Polaków w ZSRR, 34, Belgrave Square, London, S.W.1 powołując się na datę lub numer dzisiejszej "Polski Walczącej."

LISTY Z ZSRR

dla Feuereisen Jakób od Ferber Julian, dla Krukowski I. lub J. od Landa E., dla Landa lub Lando Salomon od Landa E., dla Pielichowski Stefan od Pielichowska Stanisława, dla Weitz Tusia lub Mendel od Weitz Nissan.

WIADOMOŚCI Z ZSRR

dla Siennicki Mieczysław-Jerzy od Pancer Alina.

DEPESZE Z IRANU

dla Bejko Piotr od Bejko Helena, dla Charzewski Antoni od Charzewska Michalina, od Szewczyk Artur o Szafrański Juliusz i Wiesław dla niewiadomego adresata.

WIADOMOŚCI Z IRANU

dla Kurzawski Jan o Kurzawska Regina, dla Majewski Tadeusz inż. o Kordas Eugenia.

LISTY Z IRANU

dla Baranowski Witold ur. 1921 od Baranowska Stanisława, dla Brożek Gustaw, syn Józefa ur. 1896 od Brożek Elżbieta, dla Chojnowski Szczepan od Chojnowska Kazimiera, dla Friedl od Rozenblitt Mieczysław inż., dla Górski Edward od Górska Halina, dla Grądzki Kazimierz ur. 1896 od Grądzka Józefa, dla Gryglas Katarzyna, dla Kołodziej Andrzej od Żółcińska Jadwiga, dla Kulikowski Stanisław, syn Henryka od Sawicka Katarzyna, dla Lubińska Anna-Ryszarda od Miączyński Tadeusz, dla Madej Józef ur. 1918 od Madej Józef, dla Malinowski Olgierd od Jankowski Józef, dla Mantel Adam dr. od Kesler Maria dla Mazak Jerzy-Paweł inż. ur. 1904 od Mazak Violetta, dla Michałek Stefan od Michałek Maria, dla Ostrowski Roman inż. od Ostrowska Leokadia, dla Piątek Piotr od Schönthaler Kazimiera, dla Polnik Jan ur. 1919 od Polnik Julia, dla Prokop Mieczysław ur. 1907 od Prokop Helena, dla Rozwadowski Anatol ur. 1915 od Rozwadowska Helena, dla Rymkiewicz Pelagia od Kowalska Maria-Waleria, dla Sałagan Józef od Sałagan Maria, dla Sawicki Emil ur. 1906 od Sawicka Katarzyna, dla Sławek Stefan ur. 1925, syn Stanisława od Sławek Maria, dla Sławiński Mirosław od Krukowski Augustyn, dla Wójcik Wacław ur. 1925 od Wójcik Petronela, dla Zahorski Władysław od Dunikowska Zofia, dla Zieniewicz Włodzimierz od Zieniewicz Leonora.

Celem umożliwienia bezzwłocznego przekazywania wiadomości i korespondencji nadchodzącej z ZSRR i Iranu uprasza się wszystkich o rejestrowanie się w P.C.K. przez podanie: pełnego imienia i nazwiska, ewentualnego stopnia wojskowego, daty urodzenia i dokładnego adresu oraz zgłaszania w P.C.K. wszelkich zmian swego adresu.

Pomoc dla Polaków w Rosji: £9,363

Zamiast kwiatów na trumnę ś.p. Generała Władysława Sikorskiego Zarząd Polskiej YMCA w Wielkiej Brytanii składa £5.0.0 na Fundusz pomocy dzieciom ewakuowanym z Rosji.

* * *

Pracownicy i świetliczarki Polskiej YMCA w Wielkiej Brytanii przesyłają £7.10.0 za miesiąc lipiec.

* * *

W załączeniu przesyłam £1.5.0 na pomoc dzieciom polskim w Rosji.

Z poważaniem

Janina Seńkowska

* * *

P. E. Jankowski za przesłane egzemplarze "Polski Walczącej" sh.5 — na Polaków w Rosji.

* * *

P.T. Redakcja "Polski Walczącej,"

W załączeniu przesyłam M.O. na kwotę £9 sh.18. d.8 — złożone przez niektórych podoficerów i szeregowych Pułku Przeciwpancernego z przeznaczeniem na zasilenie funduszu pomocy Polakom w Rosji.

Z poważaniem

O.T. wachm.

* * *

Na ręce Redakcji przesyłamy sumę £2.0.0 /słow. dwa funty/ na pomoc dzieciom polskim w Rosji.

Marynarze: F. i M.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Przesyłam £3.0.0 dla dzieci polskich znajdujących się w Rosji lub gdzie indziej na szlakach polskiej tułaczki.

Z poważaniem,

ppłk. M.L.

* * *

Oficerowie Szkoły Technicznej przesyłają £6 sh.18 d.6 na dzieci polskie w Rosji.

Komendant Szkoły
ppłk. R.

W dniu Imienin syna naszego Dudka, przesyłamy za pośrednictwem Pana Redaktora sumę £1 /jeden funt/ na dzieci polskie w Rosji.

Pożerscy

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £36.17.2 /słownie funtów trzydzieści sześć, szylingów siedemnaście i dwa pensy/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £9,363.10.0 /słownie: funtów dziewięć tysięcy trzysta sześćdziesiąt trzy i dziesięć szylingów/ 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5½ dolarów amerykańskich i 15 czerwieńców.

NA JEŃCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

W załączeniu przesyłam Postal Order na sumę £0.10.0 z prośbą o przeznaczenie powyższej na Jeńców Polskich w Niemczech.

kpr. F.N.

* * *

Pan Redaktor "Polski Walczącej,"

W załączeniu przesyłam Postal Order na sumę £4 sh.13 d.10 /słownie: funtów cztery, szylingów trzynaście, pensów dziesięć/ jako pozostałość Funduszu Kompanijnego, powstałego z imprez urządzonych przez żołnierzy . . . Kompanii Zaopatrywania. — Życzeniem żołnierzy . . . Komp. Zaopatrywania jest by suma ta była przeznaczona na Fundusz Pomocy Jeńcom w niewoli niemieckiej. — Proszę zatem Pana Redaktora o przyjęcie powyższej kwoty na cel wyżej wskazany. — Równocześnie proszę w związku z reorganizacją kompanii o ogłoszenie powyższej wpłaty. — Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

D-ca . . . Komp. Zaopatrywania
kpt. N.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej,"

Proszę o przekazanie na fundusz jeńców wojennych załączonej kwoty £1.4.0 uzyskanej z jednopensowych opłat za podawanie ręki w pokoju 145.

Z poważaniem

ppor. St.P.

Pracownicy Polskiego Czerwonego Krzyża złożyli £5.06.0 na Fundusz Pomocy Jeńcom zamiast kwiatów na grób ś.p. Anny Krucińskiej.

W wyniku "Whist Drive" urządzonego w Broughty Ferry Angus, zebrano sumę £35.0.0 na polskich jeńców wojennych. Komitet organizacyjny dziękuje wszystkim, którzy przyczynili się do zebrania powyższej kwoty.

Norah A. Starrs

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

Przesyłam "Polsce Walczącej" książkę: "Dywizjon 303" z prośbą o przesłanie jej na Środkowy Wschód dla żołnierzy Polskich, za co z góry dziękuję.

Edward Milnasiewicz

Na książce znajduje się następująca dedykacja:

"*Dla żołnierzy Polskich na Środkowym Wschodzie od tego, który zaznał głodu polskiej książki w ponurych dniach niewoli.*"—*E.M.*

* * *

Tymon Terlecki ofiaruje dwa egzemplarze: "Wielka Brytania — Kraj — Ustrój — Kultura."

Panie Redaktorze!

W załączeniu przesyłam paczkę książek i broszur z nadzieją że parę z nich przyda się naszym żołnierzom na Bliskim Wschodzie.

Pozostaję z poważaniem

C.B.

Załączone:

A. Maurois: "Dzieje Anglii." John o' the Green: "Jeffrey Farnol." M. Kuncewiczowa: "Klucze." H. Półkozic: "Polak a przyszła Polska." A. Błoński: "Wracamy nad Odrę." S. Mackiewicz: "Historia Polski." "Polish — English Dictionary." 12 broszur, 6 zeszytów "Bellony," 5 zeszytów "Myśli lotniczej."

Bezimiennie:

J. Pietrkiewicz: "Po chłopsku."

* * *

Dear Sir,

I am enclosing a set of "Ogniem i mieczem" which I hope may be of some use for your troops in the Middle East.

Yours faithfully,

/Sister/ Vera E. Lambert

* * *

Bezimiennie: dwa egzemplarze: "Wybór pism i autobiografia "Stanisława Thugutta." "British aircraft." "Argosy." "Badges and Emblems."

Tekst: RYSZARD POBÓG

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ.



Ktoś Walkowi zarzucił
Ciepłe ręce na szyję

I zapytał: a zgadnij
Czyje rączki to, czyje?!

Potem tata zawołał:
To się chłopak postarał!

I od razu Walkowi
Wcisnął w rękę dolara.

Przygnębiony Walenty
Przyszłej żonie dał kwiaty —

Ta zaś nagle krzyknęła:
To nie ten, proszę taty!!!!



Doesn't matter — rzekł tata,
Nie będziemy się kłócić.

Wówczas Betty zemdlała
I musiano ją cucić.

Sam kapitan dopiero
Musiał zbadać to wszystko,

Żeby stwierdzić kto Betty
Podał Pompki nazwisko.

Winowajcę ukarał,
Pompki serce ocenił,

Dla przykładu następnie
Sam się z Betty ożenił.

KTOKOLWIEK z zainteresowanych Polaków życzyłby sobie NOWY TESTAMENT lub EWANGELIĘ ŚW. JANA w języku POLSKIM proszę się zwrócić pisemnie do pana S.K. Hine, 110, Christchurch Road, London, S.W.2.

SPIS RZECZY:

Antoni Bogusławski: Nasz nowy Wódz Naczelny. — *Zbigniew Grabowski:* Szkic sytuacyjny. — Z tygodnia na tydzień. — *Julian Ginsbert:* Wojna na morzu. — *Bronisław Prugar-Ketling:* Dwie odprawy. — Działalność bojowa lotnictwa polskiego w Wielkiej Brytanii. — Ostatnia droga Generała Sikorskiego /*Stanisław Strumph-Wojtkiewicz:* Powrót do Anglii. *Witold Leitgeber:* Na Kensingtonie. *Ryszard Kiersnowski:* Ulicami Londynu. *Aleksander Janta:* W katedrze. *Marian Walentynowicz:* Ostatni przegląd. *Tymon Terlecki:* W Newark/. — *Jan Janusz:* Żołnierze polscy internowani w Szwajcarii. "Gdzie woda zamieniła się w wino." — *Wiktor Budzyński:* Bez black-outu. — Skrzynka pocztowa. — Pomoc dla Polaków w Rosji. — Na jeńców polskich. — Zbiórka książek. — *Ryszard Pobóg:* Przygody Walentego Pompki /rysunki *Mariana Walentynowicza*/. — Fotografie.

Pragnę publicznie podziękować Najświętszej Marii Pannie oraz Najświętszemu Sercu Jezusowemu za cudowne uratowanie i uleczenie ciężko chorej córeczki. Dalszej łaskawej opiece dziecko polecam.

Maria Chełmikowska

Pan Bogumił Andrzejewski proszony jest o podanie swego adresu do redakcji "Polski Walczącej."

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh. 20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

POSZUKIWANIA

HENRYK KŁOSOWSKI syn Stanisława rocz. 1923 ma wiadomości o rodzinie i proszony jest o zgłoszenie się: W.T., 105, Grosvenor Rd., London, S.W.1.

* * *

P. DZIEDZINĘ i wszystkich swych znajomych ze Schodnicy poszukuje w ważnej sprawie Tadeusz Soliński, Crookhill Hall /Receiving Home/, Conisborough, nr. Doncaster, Yorks.

* * *

Maria ze SKIRTUNÓW SIENKIEWICZOWA z Waranowej k. Lidy poszukuje swego męża Władysława.

* * *

Karolina SIENKIEWICZ, poszukuje swego męża Ludwika.

* * *

Kazimiera MARZEC poszukuje męża Mariana, b. policjanta, który był internowany na Litwie, później wywieziony do Rosji. Ostatnia wiadomość z obozu w Rosji w maju 41 r. Wiadomości proszę przesłać do:

Kondoa, Irangi Camp, Tanganyika Territory, East Africa.

* * *

Czesław KIEŁCZEWSKI poszukuje swoich szwagrów. Zgłoszenia pod J. Pietrzycki, 17, East Preston Str., Edinburgh.